Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem

50 groszy

MAGAZYN POWIEŚCIOWY

50 groszy

Nr. 3 Rok I

JAKÓB WASSERMANN



CZARNY PROROK

Powieść

Przełożył Marceli Tarnowski

Dzieje się w mieście niemieckiem Fürth w XI wieku. W dniach ucisku i niedoli słyszą Żydzi i Chrześcijanie z Fürth o niejakim Sabataj Cwi ze Smyrny, który zowie się mesjaszem i prorokiem. Pewnego dnia przybywa do Fürth uczeń owego mesjasza, który wieści jego przybycie do Europy. Tej samej nocy widzą Chrześcijanie i Żydzi ognistą łunę na niebie jako widomy znak przybycia mesjasza.

Tej samej nocy zerwała się straszliwa burza, zdarła krzyż święty z kościoła katolickiego, a gdy Żydzi o świcie szli na modlitwę, ujrzeli nad niskim portalem synagogi początkowe litery imienia Sabataja Cwi, wypisane złotemi głoskami.

Żył w owych czasach w Fürth pewien człowiek, którego zwano Majer Knöcker; nazywał się też Majer Natan, a u chrześcijan Majer Szatan. Miał otwarte usta i szpetny nos i znienawidzony był za swoje matactwa. Nazwisko Knöcker wywodziło się od żydowskiego słowa, oznaczającego jąkanie, i istotnie Majer Knöcker czyli Natan był jąkałą. Skośnemi spojrzeniami przyglądał się podnieceniu swoich współwyznawców i pośród powszechnego oszołomienia on jeden był trzeźwy i zimny. Dbał o to tylko, aby nie stracił nic ze swoich pieniędzy, i często naradzał się z żoną, jakby najlepiej zabezpieczyć kasę. Mieszkał w starym domu z licznemi skrytkami i zakamarkami, i każdego dnia w tygodniu przenosił swoje pieniądze do innego schowku. Gdy tylko nadchodziła skądsiś wiadomość o jakiemś ważnem wydarzeniu, o jakimś niewyjaśnionym przypadku, Majer Knöcker poczynał drżeć i pędził do domu, aby zajrzeć do swoich skarbów. A gdy potok wydarzeń począł wzbierać i rozprzestrzeniać się i zalewać wszystkie kraje, rosła też w duszy Knöckera trwoga przed utratą majątku, i nie mógł już zaznać spokojnego snu, a każdy kęs pożywienia przełykał w niezadowoleniu. Modlił się nawet mniej, aby móc lepiej stróżować swego mienia. Przeklinał te niespokojne czasy, a bywały dni, kiedy już nie śmiał wyjść na ulicę i zamykał drzwi, aby zagrodzić drogę jakiemuś tajemniczemu wrogowi.

Ale inna jeszcze trwoga panowała w tym pochyłym, pełnym zakamarków domu, który lada chwila groził zawaleniem się, a przy jasnem świetle księżycowem

jesiennych nocy podobny był do ruiny. Majer Knöcker miał córkę. Nie była ona piękna, ale posiadała bujne kształty i zewnętrzną namiętność kobiet żydowskich, zaś w oczach jej było coś głucho zmysłowego, co pociągało ku niej mężczyzn. Rachela oddawna już nawiązała stosunek miłosny z jakimś studentem chrześcijańskim z Erlangen i rzuciła mu się w ramiona. Od szeregu miesięcy czuła w swem łonie młode życie, a ilekroć pomyślała o tem, co powiedzą ojciec i matka, kiedy to odkryją, serce jej ściskało się. Bezradność i smutek zamraczały jej życie i czyniły młodość jej posępną i godną politowania.

Gdy jednak fala zapału mesjańskiego spadła na cichą miejscowość, udręczona dziewczyna ujrzała w tem pewnego rodzaju wybawienie. Wydawało się jej teraz łatwiejszem, niż zwykle utrzymać w tajemnicy swój stan cielesny i duchowy, gdyż podniecenie umysłów nie pozwalało już zwracać uwagi na jednostki. Mimo to coraz bardziej zbliżał się czas, gdy niczego niepodobna już będzie ukryć, gdy bez słów będzie musiała objawić swoją tajemnicę. Rozmyślała i rozmyślała podczas bezsennych nocy, aż wreszcie dzięki wrodzonej przebiegłości znalazła zuchwałe wyjście ze swej kłopotliwej sytuacji, i postanowiła prosić kochanka o pomoc.

Majer Knöcker powrócił z wieczornej modlitwy do domu i opowiedział, że wraz z czterema innymi odszedł znowu z niczem. Żydzi zapominają zbierać się na modlitwę; widział w tem okropny znak. Ze ściśniętem sercem wyglądał na ulicę, jakby z godziny na godzinę spodziewał się ujrzeć twarzą w twarz nieubłaganego burzyciela spokoju domowego. Nagle zabrzmiał dzwonek przy drzwiach wejściowych, i nadbiegł Icyg Gänsshenker, opowiadając bez tchu, że stał się prawdziwy cud boży. Mianowicie na wybrzeżu Szkocji północnej pojawił się statek z jedwabnemi żaglami i jedwabnemi linami, a żeglarze, którzy na nim jechali, mówili po hebrajsku, bandera zaś miała napis: dwanaście pokoleń czyli synowie Izraela. Statek ten jest pono przeznaczony dla oblubienicy Mesjasza.

Mówili teraz o wielu rzeczach, a Telsela, żona Knöckera, przyłączyła się także do rozmowy, aż przyszedł Boruchs Klöss i chciano czytać talmud. Klöss słyszał już także o tajemniczym okręcie, i wszyscy, wszyscy w miasteczku wiedzieli już o nim. Nie doszło do studjowania talmudu, ponieważ Boruchs Klöss wiedział kilka osobliwych nowinek: jak pewien krawiec żydowski w Medjolanie popadł w stan szaleństwa i od tego czasu wije się w proroczych ekstazach; godzinami całemi leży na ziemi i mówi, to śmiejąc się, to płacząc, o bliskiem zbawieniu i o mocy Sabataja w niebiosach i na ziemi. Dalej opowiedział, że stryj jego powrócił z Turcji do domu i jest zupełnie oszołomiony wielkiemi i cudownemi sprawami, które tam widział. Lud smyrneński jest jakby szałem ogarnięty i wydaje okrzyki na cześć wybawcy, który w procesjach o niewidywanym dotąd przepychu kroczy ulicami. Niewierzący, chofrim, nie są pewni życia; Chajim Penja został przez lud niemal rozszarpany, kiedy wystąpił przeciwko Sabatajowi; rodzona córka Penji w zachwyceniu zmysłów wydawała okrzyki na cześć zbawiciela, przepowiadała i była jak oszołomiona. Wypuścili więc Chajima Penję i został on później wyznawcą.

Tak opowiadano, a Boruchs Klöss wiedział o daleko bardziej zdumiewających rzeczach, niż Icyg Gänsshenker. Majer Knöcker zaś milczał z ciężkiem sercem. Widział rozpętujący się dokoła dziki taniec; mądrość jego ostrzegała go przed przeciwstawianiem mu się, tem bardziej, iż tejże nocy jeszcze rozeszła się wieść, że Zacharjasz Naar znajduje się w kontakcie z samym prorokiem. Otrzymał przez to formalne święcenia; chodził po domach Żydów, przekonywał powątpiewających i budził zapał w ufających. Zjawiał się wszędzie, wszędzie go można było spotkać, często postać jego rysowała się na polach na ciemnem tle nieba, samotna o wieczorze.

Dzwon oznajmił północ. Młody człowiek przemknął się przez plac Lilij na ulicę Wodną ku domowi Knöckera. Ukrył pod płaszczem długą trzcinę, a głowa jego starannie owinięta była kapturem. Czerwony księżyc kłonił się ku zachodowi i zdawał się rozpościerać po dachach czarodziejskie kwitnienie. Rozwiewał żółte kwiecie, nad niem delikatne zasłony z mgły, aby nikt kwiatów nie widział, a kamienie nie były już kamieniami, lecz pąkami księżycowego kwiecia, zaś każdy kół w płocie budził się ze swego snu bez marzeń i melancholijnie spoglądał w świat. Pochyłe domy wydawały się nieodziane, bezradne i opuszczone; niektóre sprawiały wzruszające wrażenie w swej beznadziejnej ruinie, podczas gdy okna ich podobne były do smutnych oczu, wpatrujących się w mglistą kopułę szklaną nieba, jakby były oświetlone przez to łagodne, naturalne światło.

Młodzieniec przeszedł przez niski płot i wstąpił na wąskie, zbutwiałe schody, skąd dostał się na dach i ruszył po nim dalej na palcach. Zatrzymał się przed zieloną okiennicą i wsadził swoją trzcinę przez wąską szparę. Teraz zawołał stłumionym, zmienionym głosem przez rurę:

— Boruch ado adonaj elohim! O, wy sprawiedliwi i miłujący Boga małżonkowie, Majerze Natanie i Telselo! radujcie się, albowiem córka wasza, która jest dziewicą, poczęła w łonie swojem dzieweczkę, a ta będzie oblubienicą zbawiciela narodu izraelskiego, Mesjasza ze Smyrny.

Knöcker, który daremnie miotał się na poduszkach, szukając snu, i którego wyobraźnia znajdowała się w dzikim zamęcie, zbudził żonę.

— O, najukochańsza moja, — szepnął zmieszany, — czy słyszałaś głos niebiański? Jakiś anioł tu był, wstań, pomódlmy się, abyś i ty stała się godna usłyszenia głosu niebiańskiego.

Drżąc na całem ciele, kobieta wstała; nasłuchiwała w noc, przyłożyła wychudłe dłonie do bijącego serca i przyklękła. I oto głos rozbrzmiał ponownie:

— Okazujcie wielką cześć swojej córce i starajcie się pilnie, aby miała należytą pieczę. Albowiem z jej dziewiczego łona zrodzi się oblubienica Mesjasza.

Wówczas Telsela chwyciła męża i pociągnęła go do izdebki, w której spała córka. Zdawała się ona drzemać spokojnie, wygląd miała wychudły, a powieki jej drgały nieco. Gdy matka chciała podnieść kołdrę, przykrywającą jej łono, wydała nagle ochrypły krzyk i w śmiertelnej trwodze wpiła się rękoma w tkaninę. Ale Knöcker pogłaskał ją po policzkach, bełkocząc niezrozumiałe, pieszczotliwe słowa, podczas gdy Telsela obmacywała brzuch dziewczyny, poważnie kiwała głową, i zdawała się być przejęta zbożnym dreszczem.

Wielka radość ogarnęła Majera Natana: dom jego został wybrany do tak niezwykłych rzeczy, że w tej chwili zapomniał nawet obaw o swoje pieniądze i wraz z żoną siedział przy łożu córki, niecierpliwie wyczekując nastania dnia. Po policzkach Racheli spływały gorzkie łzy. Z oczyma szeroko rozwartemi wpatrywała się

nieustannie w jeden punkt. Zdawało się, że trapią ją złe zjawy; światło sprawiało jej ból, wszelka pociecha raniła ją.

Tymczasem Majer Natan, przed którym rozwarły się nowe zupełnie światy, widział już siebie jako patrjarchę gminy, sławionego jako ojca niesłychanego szczęścia. Ujął żonę za rękę, poprowadził ją zpowrotem do sypialni, bełkotał nieprzytomnie, zatapiał ręce we włosach, śmiał się, podrygiwał i odszedł wreszcie, aby przedewszystkiem odwiedzić swego przyjaciela Boruchsa Klössa, a potem chazana.

Ranek był bliski. Dławiąca pustka ciążyła nad ulicami. Daleko na równinie szemrała rzeka, a niekiedy rozlegał się dźwięk jakby koła młyńskiego lub dzwoneczków krowich. Wielkie chmury oblegały zenit. Jak drapieżne zwierzęta leżały gotowe zda się rzucić się na ziemię.

Prawie we wszystkich domach żydowskich paliło się światło. Gdziekolwiek przyłożył Majer Knöcker ciekawe ucho do zamka drzwi albo do cienkiego muru, słyszał mruczenie modlitw, skargi, wezwania i hymny pochwalne.

Gdy nastał jasny dzień, rozeszła się dziwna wieść. Powiadano, iż Żydzi z miasteczka Avricourt gotują się do wyruszenia do Jerozolimy. Poza tem powiadano także, że Jakób Sasportas, zaciekły wróg Sabataja Cwi, stał się nagle jego płomiennym zwolennikiem i z Pismem świętem w ramionach tańczy w zachwyceniu po ulicach Wormacji. Dalej nadeszła wieść, że Manoel Texeira odbył z dziesięcioma starszymi pielgrzymkę do Smyrny i rzucił się Mesjaszowi do nóg. Niejaki Natan Ghazati został przez Sabataja wyznaczony na króla Grecji, a żebrak Elias Levi na cesarza Afryki. Palestyńczycy, którzy przez Jakóba Zemacha przesłali hołd nowemu królowi Żydów, ozdobili swoje świątynie, i śpiewając psalmy a rozrzucając kwiecie, ruszyli przez miasta, jakby się odnowiły czasy Dawida. Słynny Sabataj Rafael w Polsce i Matatja Bloch zostali nawiedzeni przez ducha świętego, tak, że prorokowali na rynkach publicznych w Warszawie i Toruniu.

Tak pomyka o wiośnie wiatr południowy ponad wyżyną niemiecką, jak wszystkie te wieści przybywały do Fürth. Nawet chrześcijanie poddawali się ogólnemu podnieceniu pod wpływem tych osobliwych wydarzeń. Zamęt ogarnął Europę; stary świat zdawał się budzić ze swego snu. Ciemiężca lękał się ciemiężonego, niewolnik marzył o wolności. Nie mijał ani dzień, aby nie rozniosła się wieść o czemś niezwykłem, choćby to było tylko jakieś tajemnicze, różnorako dające się tłumaczyć słowo Mesjasza.

Stoi on na tarasie nad morzem, wyciąga rękę i mówi:

— Baczcie, daję wam dzisiaj życie i śmierć.

Tak opowiadali wędrowni Żydzi. Pisma obiegały miasta; osobliwe sprawy wisiały w powietrzu.

Majer Knöcker czyli Natan, który z zachwytem rozniósł dalej wieść o niespodziewanem szczęściu, jakie stało się jego udziałem, spotkał się początkowo z nieufnością, potem z podziwem, wreszcie ze ślepą wiarą. Znalazł zapalonego apostoła w osobie Boruchsa Klössa, i wymowny ten mąż okazał się istotnie najlepszym rzecznikiem tak błogosławionej sprawy. Starsi gminy przybyli do Racheli, aby modłami uczynić ją świętą. Tegoż wieczora odbyła się wielka uczta pod przewodem zwierzchniego rabina, a dom jąkały uznany został za pobożne schronienie.

Ale Rachela sama była nadal posępna i zamknięta w sobie. Unikała ludzi i oduczyła się patrzeć ojcu i matce prosto w twarz. Gdy ktoś rozmawiał z nią długo, poczynała drżeć. Ręce jej były wilgotne, wargi suche i popękane, oczy zaczerwienione. Nie mogła już spać ani jednej nocy; ciemność nabierała purpurowego zabarwienia i leżała niby zasłona przed jej wzrokiem, nieprzenikniona i zatrważająca.

Często, zanim jeszcze dzień nastał, Rachela wstawała ze swego łoża i wchodziła na strych, gdzie przykucała przy jakiemś okienku i godzinami trwała tak w zadumie z nieruchomym wzrokiem. Cieszyła się, kiedy marzła; pragnęła marznąć, pragnęła cierpieć, zewnętrzny ból przynosił ulgę wewnętrzną.

W sabat po modlitwie przychodziły do niej kobiety; ale ona była tak przygnębiona, że wybuchała przed gośćmi głośnym płaczem. Załamywała ręce, jęczała, rzucała się na ziemię, zgrzytała zębami i mruczała słowa bez sensu i dźwięku. Było to godne zobaczenia widowisko, potwierdzenie cudu, który spłynął na tę dziewicę. Kobiety przynosiły podarunki, ale dziewczyna rzucała je im pod nogi i złorzeczyła i groziła nieprzytomnie. Przychodziło też wielu mężczyzn: Turatara, Wolf Batsch, Seligman Schrenz, Seligman Rumpel, Hirsch i Herz Rumplowie, Wolf Bieresel, Joel i Dawid Biereslowie, Majer Anschel i Icyg Gänsshenker, ba, nawet Mojżesz Bock z Würzburga i Michael bar Abraham z Erlbachu. Tak szybko rozniosła się wieść po kraju. Wszyscy przynosili podarunki: złotolite szale albo gwiazdki albo nawlekane gwiazdki albo zasłony ze złotogłowiu lub haftowane złotem, ze złotemi lub srebrnemi kwiatami, suknie z aksamitu z szarfami z kwiatów, płaszcz adamaszkowy, trzewiki lub pantofle obramione dobrem lub złem złotem, wstążki z czarnej lub farbowanej skóry, wisiorki, klamry, bransolety, złotolite pasy i jeden pas ze złota, wysadzany diamentami, pierścienie i kolczyki, rękawiczki z futra i chustki na szyję aż do dwóch guldenów wartości.

Świąteczne to były dni dla Majera Knöckera czyli Natana. Drżącemi dłońmi dotykał tego bogactwa; brał chustki, składał je zpowrotem, pieścił trzewiki i pierścienie, przykładał wisiorki do swojej szyi i paradował w nich po pokoju; stawał też z niemi przed zwierciadłem, wykonywał ukłony, stroił pocieszne miny i z dziecięcą wesołością kroczył naprzeciwko posępnemu losowi.

W dzień św. Dionizego powietrze było tak czyste, że słychać było dzwony kościelne z Norymbergi. Żółty poblask leżał na łąkach, a niebo pokryte było marmurkiem białych, delikatnych, okrągłych obłoczków. Pochód grajków żydowskich, wypędzonych z probostwa katedralnego w Bambergu, przyniósł wieść, że Mesjasz wyruszył ze Smyrny i przybywa do Niemiec, aby zebrać wiernych wokół siebie i ruszyć na ich czele do Ziemi Świętej.

Gdy Rachela dowiedziała się o tem, zbudziła się ze swojej długotrwałej apatji. Ożywiała ją jedna tylko myśl: że powinna iść precz z kraju, w którym mieszkał ukochany, bowiem w wyobraźni jej, gorącej i podnieconej, pogłoska stała się już wydarzeniem.

Z płonącemi oczyma biegła przez ulice; nikt nie zwracał na nią dzisiaj uwagi. Wielu zdawało się ogarniętych szaleństwem, jak gromada łaknących, którym dano ognistego wina. Nie zważano już na rytuał, ani na wieczorny ani na poranny minjan, ani na socher ani na przymierze obrzezania.

Przez plac Lilij biegł młodzieniec z obnażonym tułowiem; wymalował on sobie na piersi słowa: poznaliśmy, co warte są nasze czyny, cierpimy mękę w gorących płomieniach. Szmuel, sędzia gminy, mąż lat siedemdziesięciu, który zazwyczaj dzień i noc studjował talmud, zagrzebał się na dziedzińcu świątyni aż po szyję w piasek, a ciało jego było niemal odrętwiałe. Hebrajskiemi słowami wykrzykiwał namiętnie chwałę Mesjasza, a wielu innych bladych ludzi stało dokoła niego w skupieniu.

Rachela pobiegła za miasto na Błonie Strzeleckie, gdzie jeszcze od kiermaszu stały wozy Cyganów, potem skierowała się do kopca szwedzkiego, gdzie bez sił padła na trawę. Słyszała, jak Cyganie wykrzykiwali swoją południową gwarą, widziała, jak gestykulowali, mimo mgły, która leżała nad okolicą. Posługacz szkolny i grabarz przebiegli obok kaplicy, ale ona nie dostrzegła ich. Miała uczucie, jakby leżała tu już od szeregu dni, nie zdając sobie sprawy z upływu czasu, i jakby musiała jeszcze przez szereg dni i tygodni leżeć tutaj, niezdolna pojąć, co się z nią dzieje.

Niebo pokryło się chmurami i spadł drobny, perlisty deszcz. Jedna z chmur, sunących od lasu, miała postać i rysy młodego studenta, którego Rachela kochała. Widziała dokładnie: chmura miała czarnę brodę, okalającą ozdobnie podbródek i policzki i zalotnie przystrzyżoną śpiczasto. Widziała też małe usta i mały nos i ruchliwe oczy. A potem stanął nagle obok niej, Tomasz Piotr Hummel, i Rachela miała wrażenie, jakoby mogła ująć jego dłoń. Przemówił do niej, delikatnie i szybko i zręcznie, a jeśli mówił przekonywująco, to przyczyną było nie to, co mówił, ale głos jego, jego zręczne, wężowe usposobienie, jego wesoła gadatliwość. Dobierał słów jak bystry polityk i kuglarsko igrał uczuciami. Ale jak to się dzieje na świecie, kochała go.

Mężczyzna i kobieta zbliżyli się do błonia. Powolny ich krok wskazywał, że nie zwracali uwagi na deszcz. Rachela poznała Zacharjasza Naara i ową wysmukłą dziewczynę, którą widziała podczas widowiska na Błoniu Strzeleckiem. Była piękna. Trzeba przymknąć oczy, kiedy się ją widzi, pomyślała Rachela. Była blada i chora, jakby trawiona potajemną tęsknotą. W każdej linji jej ciała było coś cierpiącego, a kształt jej ust zdradzał cierpliwość i powab. A jednak było w niej coś, co wszystkiemu temu zadawało kłam, może w porywczości i przekorze jej oczu.

Niebawem znikli na zakręcie drogi polnej. Rachela spoglądała nieruchomo w zmierzchający się zwolna krajobraz i rada była, że nie została dostrzeżona. Nie czuła dość siły, aby powrócić do domu, i obawiała się, że zapadająca noc mogłaby ją jeszcze tutaj zastać. Uczuła się odtrącona i prześladowana; skazana na samotne znoszenie hańby, przygnębienia, nieukoju i bezdomności; nie chciała więcej wracać do domu. Nienawidziła ojca i matki, nienawidziła bladych, gorliwych w modlitwach mężów żydowskich, ich zjadliwych, gadatliwych żon, przemądrzałych chłopców, przedwcześnie dojrzałych dziewcząt, dziecinnych, fanatycznych starców: wszyscy wydawali się jej godni pogardy i nieczyści.

Ale dokądże miała pójść, jeśli nie do domu, pomyślała: bezgraniczny jest świat, a dla dziewczyny żydowskiej niema zmiłowania, niema schronienia, nawet zbójca może ją zdeptać nogami. A wkońcu wyklują ci oczy, jeśli to uznają za dobre, i wtedy będziesz musiała zginąć z głodu.

Nie wierzyła w tego Mesjasza, nie wierzyła w jego proroctwa, może dlatego tylko, iż udało jej się przez naiwne oszustwo złudzić wszystkich otaczających ją w imię tegoż właśnie Mesjasza.

Kiedy tak rozmyślała, spoglądając w niebo zachodnie, rozdzieliły się tam chmury, i nagle zachodzące słońce rzuciło potok siarczano żółtego światła na firmament. Drzewa, kamienie, łąki, woda, las, domy wdali, wieże kościelne, nawet powietrze samo zdawały się żywemi istotami. Wówczas Rachela uśmiechnęła się, a naprężenie jej duszy zwolniło się. Ogarnął ją głęboki spokój, i w rozmarzeniu przymknęła oczy.

Z Ronhofu nadszedł przez pole jakiś wieśniak, który nakrył głowę workiem. Zobaczył dziewczynę żydowską, przykucniętą na ziemi, i tak się przeraził tym widokiem, że przeżegnał się i pędem pobiegł w kierunku domów miasteczka. Wyszła jej naprzeciw gromada Żydów, którzy zmierzali do kopca szwedzkiego, aby przemocą zabrać kamień nagrobny pięknego Józefa, gdyż rodzina, która zwróciła się z prośbami do sołtysa i sędziego pokoju, została odprawiona z niczem. Wieśniak, którego jedno oko było ślepe, oznajmił Żydom, że przy kopcu szwedzkim widział czarownicę. Ale oni zdaleka już poznali córkę Knöckera, a jeden pobiegł zpowrotem, aby sprowadzić Majera Natana.

Wieśniak z Ronhofu podsłuchał szybko, że Żydzi zamierzają ograbić kopiec szwedzki; uciekł, wymachując groźnie ręką i zaalarmował rogodzieja, krawca, pozłotnika i dwóch czeladników rzeźnickich, którzy mieli swoje warsztaty wpobliżu Błonia Strzeleckiego.

Gdy Majer Knöcker wybiegł blady i zadyszany z ulicy Rybackiej, rzucili się na niego z wściekłością grzebieniarz Hornschuch i krawiec Federlein, podczas gdy kilka starych kobiet zrzędziło na parterze zielonego domu, nie mogąc poskromić swojej nienawiści do hołoty żydowskiej. Inni bohaterowie pobiegli z wieśniakiem z Ronhofu do kopca szwedzkiego, ciesząc się niezmiernie z oczekującej ich bójki; w biegu dzielili pomiędzy siebie ofiary i wyliczyli, że każdy dostanie do obicia ze trzech Żydów.

Ściemniło się: był łagodny wieczór. Gwiazdy wyjrzały z poza chust chmur; księżyc w pełni ukazał się także na wschodzie, prosto nad wieżami Norymbergi. Płynęło z niego oliwkowe światło, podczas gdy na zachodzie posępna czerwień i bronzowe złoto bladły zwolna. Ktoby przyklęknął na kolana albo napłask położył się na brzuchu i uważnie rozejrzał po równinnej okolicy, mógłby sądzić, że ziemia oddycha jak człowiek, że melancholijna kraina frankońska jest niejako piersią ziemi, która wznosi się i opada w spokojnym śnie.

Gdy jednak żądni bijatyki młodzieńcy przybiegli do kopca szwedzkiego, stanęli zdumieni i stropieni. Szelomo Schneiors, burmistrz Żydów, rozdział się ze swych szat i krótkim biczem uderzał się z wściekłością po ciele. Twarz jego była tak skrzywiona, że przedstawiała ohydny widok, a jego grube, krwisto-czerwone wargi poruszały się na wszystkie strony, mrucząc modlitwy. Ciało jego dygotało z bólu, a żebra naprężały się pod chudą, poranioną skórą. Inni Żydzi stali dokoła niego śmiertelnie bladzi, niby dozorcy, i do taktu schylali kolana.

Behrman Levi wykrzyknął głosem, który zabrzmiał jaskrawo i niesamowicie w spokojnym wieczorze ponad polami, kabalistyczne proroctwo: Zjawi się król Mesjasz, a gwiazda, znajdująca się po wschodniej stronie, połknie siedem gwiazd ze strony północnej, zaś czarny słup ognisty zwisać będzie z nieba przez sześćdziesiąt dni.

Potem wszystkie narody wystąpią przeciwko potomkom jakóbowym, i wielka ciemność będzie nad światem, przez dni piętnaście.

Z obłąkanym krzykiem rzucił się pomiędzy nich Majer Natan, którego prześladowcy wypuścili nareszcie, ujął głowę Racheli obydwiema dłońmi, głaskał ją i z lękiem śmiertelnym w głosie pytał, dlaczego odeszła i czy jest chora. Rachela potrząsnęła głową.

Krawiec Federlein i rogodziej stracili całą odwagę, i nie dokonawszy swego dzieła, ruszyli wraz z innymi zpowrotem; posłali wieśniaka z Ronhofu do pana proboszcza Wagenseila, aby mu zdał sprawę i aby z powodu kopca szwedzkiego nie spadła na nich wina. Dwaj czeladnicy rzeźniccy i pozłotnik, wszyscy trzej bardzo przygnębieni, życzyli pozostałym spokojnej nocy, zaś krawiec i pan Hornschuch poszli dalej sami. Koło Gęsiego Rowu spotkali drabiniasty wóz, którego woźnica był znajomym rogodzieja, i teraz podzielili się jeden z drugim swemi myślami. Woźnica opowiadał zdumiewające rzeczy o znakach niebieskich i o bliskim końcu świata. Dobrze jest, powiadał, że w Norymberdze niema Żydów, gdyż tam jeszcze mieszczanie są nawpół zdolni do rozsądnych rzeczy. Napomknął przy sposobności, że przy Pagórku Żydowskim w Norymberdze widział wielki kamień z napisem:

Ten kamień pozostał po Żydach,
kiedy wygnano ich z Norymbergi
w domu Wolfganga Eysena, zaprawdę,
w roku tysiąc czterysta dziewięćdziesiątym
dziewiątym.

Zwolna księżyc oświetlał ulice. Zdala od lasów Twierdzy płynęły jesienne opary. Liście na drzewach, wilgotne nieco od deszczu, połyskiwały srebrzyście i drżały na wietrze wieczornym.

Prawie wszystkie okna domów były oświetlone. Żydzi zdawali się palić potrójne światła, chrześcijanie zaś czuli jakiś nieokreślony popęd do czujności. Prastare proroctwa były na drodze do spełnienia, a parność, płynąca z krainy Wschodu, była tak przytłaczająca, jak niegdyś przed tysiącem sześciuset laty, kiedy ukrzyżowano Jezusa Chrystusa.

Młode dziewczyny żydowskie biegały po ulicach z rozpuszczonemi włosami; niektóre obnażyły piersi, a oczy ich błyszczały od nadmiernego spożycia wina. Chłopcy siedzieli w grupkach przed drzwiami i śpiewali psalmy i hymny na cześć Mesjasza. W pokojach zbierali się starcy, oddając się z głęboką żarliwością studjowaniu kabały.

W jednym z domów na rynku Węglowym powstał dziewiętnastoletni Chajim Chaim Rappaport i rzekł:

— Gdyby nie on miał być tym, który weźmie na siebie boleści Izraela, zaprawdę, żaden człowiek nie zdołałby ich znieść. Choroby nasze będzie on dźwigał i wszystkie zło i bóle zabierze ze świata.

Potem obwieścił, że Sabataj Cwi ośmielił się wypowiedzieć czterogłoskowe imię Boga, a Turek Murad Effendi został przez to nawrócony.

W domu nadrabina zebrało się przy uczcie pięćdziesięciu mężczyzn i kobiet. Im dalej posuwał się wieczór, tem bardziej nieposkromiony stawał się szał radości, tem gorętsze stawały się głowy od wina, od gry, od podniet najosobliwszego rodzaju. Wielu rzucało srebrne puhary w powietrze, a wielu klękało, wykrzykując zachrypłemi głosami modlitwy. Rabi sam pierwszy zrzucił z siebie szaty, a potem zdjął suknię z ciała pięknej Estery Fränkel. Wargi ich całowały się, jak dwoje tonących trzymali się w uścisku i niemal nadzy wirowali dokoła w orgjastycznym tańcu. Inni poszli niebawem za ich przykładem; wszędzie podnosiły się z nad stołu blade twarze, rozpłomienione oczy wpatrywały się nieprzytomnie w zbliżający się świat zbawienia: jak gdy lękliwy niewolnik nagle otrzymuje wolność i w dzikiem nieposkromieniu kaleczy własne ciało i niszczy własne mienie.

Mężowie, którzy stali już u progu sędziwości, zachowywali się jak fauny. Kobiety o siwych włosach oddawały się godnym politowania występkom. Telsela Knöcker piła niemal bez przerwy ciężkie wino burgundzkie, zdziecinniałym głosem bełkotała hebrajskie słowa o mesjaszowej oblubienicy, aż nieprzytomna padła na ziemię.

Były tam młode dziewczęta, które oddawały się oszalałej chuci miłosnej, jak gdyby chciały w ten sposób wymazać ze swej pamięci lata wstrzemięźliwości. Niektóre wyglądały jak furje, zataczając się z pożądliwością z jednej rozkoszy w drugą i rzucające się bezwstydnie w najpotworniejsze występki.

Krzyki, jęki i głośne chichoty rozlegały się dokoła, a pięciu pijanych muzykantów zagłuszało wszystko ohydną muzyką. Od czasu do czasu rozlegał się posępny kanon modlitwy, wygłaszany przez trzech czy czterech mężczyzn w jakimś kącie, albo fanatyczne wołanie zbawienia, na które odpowiadano z jakiegoś domu na dalekiej ulicy.

Michel Chased, chazan, przyniósł zwój praw z bożnicy i tańczył z nim dokoła jak z ukochaną; oddawał się śmiesznemu i straszliwemu nierządowi, skoczył wreszcie dysząc i jakby żebrząc u innych oddechu, i głęboko wbił sobie stalową igłę w przedramię, aż ciemnoczerwona krew trysnęła na zwój praw i na ziemię.

Boruchs Klöss, Wolf Batsch i Rumplowie przyklękli i podczas gdy chazan niemo i sztywno padł na ręce swego syna, oni piszcząc lizali i spijali spływającą krew.

Dwaj młodzi ludzie ujrzeli bladego Zacharjasza Naara, jak przeszedł przez pokój, wznosząc zaklinające ręce, i zniknął znowu. Także stary Thurathara, którego zaczerwienione oczy stale spoglądały przez cieniutką szparkę w powiekach, dostrzegł to zjawisko i twierdził, że ów niósł na ramionach przecudowne, blade dziecię, a złotowłosa istotka ze śmiechem i wesoło patrzała na okropny zamęt.

Stary Seligman Schrenz chciał przykryć nagość swojej córki, chciał ją owinąć w swój płaszcz; ale czarna Noemi, dysząc ciężko, z nawpół rozwartemi wargami, uciekła, rzuciła się w ramiona swojej przyjaciółki, siostry szamasza bożniczego, i dwie dziewczyny całowały się, rzuciły się na ziemię i przycisnęły do siebie swoje rozgorączkowane ciała.

O jeden dom dalej Majer Lambden leżał ze swoją rodziną na dylach podłogi; nie sypiali już bowiem w łóżkach. Za dnia spowijali się w chusty z grubej tkaniny i nie ustawali w modłach. Byli mężczyźni, którzy zupełnie powstrzymywali się od snu i dzień i noc oddawali się studjom prawa, gdyż przez tikunim o godzinie północnej zmywało się grzechy. Majer Wolf, zwany Fünkler, i jego brat Samuel Fünkler wychodzili rano o chłodnym wietrze jesiennym i kąpali się w rzece, aby oczyszczać swe ciała.

Tak rosło i rosło podniecenie umysłów, a niebawem stało się zwykłym widokiem, gdy ktoś zataczał się nago po ulicach i biczował się, aż ciało jego całe było zalane krwią.

Gdy w piątek św. Serapjona dzwon obwieścił dziesiątą godzinę wieczorną, rodzina pięknego Józefa zgromadziła się na placu Lilij, a czterej młodzi mężczyźni zabrali kamień nagrobny z kopca szwedzkiego. Tłum ludzi był przy tem. Kobiety i dzieci, które wystroiły się barwnemi chustami i śpiewały radosne modlitwy. Było też wielu mężczyzn. Powolnym, wąskim pochodem kroczyli ku roli bożej, na czele owych czterech z kamieniem nagrobnym, spowitym w haftowaną złotem szarfę aksamitną.

Księżyc wyglądał z za dachu kościoła św. Michała, i miało się wrażenie, jakgdyby wszędzie trzeba było najpierw rozdzierać delikatną mgłę, zanim można było wkroczyć w błękitną noc. Ponad rzeką, daleko, aż do odległych granic lasu, opary leżały niby białe sklepienie albo jak długa sala kolumnowa jakiegoś zamku. Czerwone, niewyraźne plamy, tu i ówdzie budziło się zagadkowe światło. Woda szemrała, a nigdzie nie widać było ruchu, poza jasnemi, oślepiającemi niemal chmurami na niebie i pochodem żydowskim na ulicy.

Kiedy się zbliżyli do murów Bes Chajim, z szeroko rozwartych wrót wybiegła kobieta z rozwianym włosem, bełkocząc wśród przerywających jej ciągle, zdumionych, przerażonych okrzyków słuchaczów, że jakiś duch unosi się ponad mogiłami i śpiewa cudowne strofy i woła: Mesjaszu, o Mesjaszu, o Sabataj, gwiazdo na wysokościach! Wszyscy spojrzeli z zainteresowaniem w tę stronę. Cmentarzysko rozciągało się na pochyłości wzgórza, a niezliczone grobowce nadawały mu fantastycznie zorany wygląd. Powyżej ciągnęła się mgliście połyskująca równina, bez drzew, bez domów, podobna do morza, a na niej leżały samotne wsie niby wyspy umarłych.

Żydzi nie spostrzegli ani śladu zapowiedzianego ducha, przemogli więc naturalną lękliwość i nieśmiało a wahająco weszli przez bramę. Ostrożnie szli szeroką drogą główną, rozglądając się ciągle i zmierzając ku mogile pięknego Józefa. Najodważniejsi byli chłopcy: śpiewali oni pieśń o dumie Syjonu, a ich piękne, świeże głosiki rozbrzmiewały daleko w noc.

Grób leżał przy zachodnim murze, przylegającym tuż do ścierwiska chrześcijan, gdzie tracono też skazanych złoczyńców. Wyraźnie widać było Starą Twierdzę z jej ponurym lasem, a zdala dolatywał fletniowy dźwięk rogu. Nadszedł grabarz, i Obadja Enzel Steinblaser wystąpił jako prowodyr modłów, aby odczytać z Szulchan Aruch przepisaną modlitwę. Ale nie zaczął; minuty upływały, a że stojący ztyłu nie mogli widzieć jego twarzy, tłoczyli się pożądliwie do przodu. Niektórzy złorzeczyli już trwodze przed chrześcijanami, która skłoniła ich do przedsięwzięcia tej ceremonji w nocy, a wiele kobiet zamykało oczy, aby nie widzieć nic. Gdy jednak Obadja Enzel nadal nie wydawał dźwięku, otaczający zbliżyli się do niego i wówczas ujrzeli, że z szeroko rozwartemi oczyma i trupio bladą twarzą wpatrywał się on nieustannie w jeden punkt. Poszli za jego wzrokiem i zobaczyli postać kobiecą, stojącą koło wierzby pośród kamieni nagrobnych. Nastąpiła cisza śmiertelnej zgrozy, jakgdyby wszyscy przestali nagle oddychać; cicho i przenikliwie zabrzmiał stamtąd głos dziewczęcy, jakaś melodja w obcym rytmie i obcym języku.

Grabarz i rabi Seligman Clauss byli najodważniejsi, a że był to przecież głos ludzki, więc wreszcie poszli za nimi i inni mężczyźni, potem dzieci, a nakoniec kobiety.

Nikt nie poznał w młodej dziewczynie Zirli. Stała odziana w koszulę tylko, a zdawało się jednak, że nie marznie. Kto ją tak widział, musiał w głębi duszy współczuć owemu cierpieniu, które ją przytłaczało. Ale coś przebiegłego było w jej bólu i coś pożądliwego w jej skargliwych oczach.

— Czego chcesz tutaj? czy ktoś z twoich jest tu pogrzebany? — zapytał Enzel Steinblaser szeptem.

Jakaś młoda kobieta podała jej wełnianą chustkę, ale Zirla odsunęła ją w milczeniu.

— Słuchajcie, co wam chcę opowiedzieć, — rzekła dziewczyna, a przelotne dreszcze przebiegały po jej ciele, gdy wszyscy stłoczyli się gęsto dokoła niej.

— Byłam w klasztorze, i mniszki nauczyły mię wierzyć w Jezusa Chrystusa. Ale jako dziecko byłam Żydówką i ojczyzna moja znajdowała się w krainie wschodniej. Pewnego dnia chrześcijanie napadli nas, a łóżka nasze pływały we krwi. Ojciec, matka, bracia i siostry zostali w najokrutniejszy sposób pomordowani. Domy płonęły, kobiety i dziewczęta zamknięte zostały w świątyni i ginęły w płomieniach. Leżąc ukryta w stajni, słyszałam ich rzężenie i jęki. Czas mijał. A chociaż potem wraz z chrześcijanami odmawiałam chrześcijańskie modlitwy, nie zapomniałam nic, Żyd nie zapomina nic! I znowu pewnego dnia uciekłam, a Cyganie przyjęli mię do siebie. Żyłam wśród nich jak w złym śnie, otoczona głosami, które wzywały mię w nocy. Oblubieniec czeka, wołały, rozpościera ramiona i czeka; jest on czemś więcej, niż Jezus Chrystus, jest on Bogiem samym.

I oto wczoraj, koło świtu, zjawił mi się ojciec mój we śnie. Pan Zastępów przeznaczył cię na oblubienicę Sabataja, powiedział. Masz mu wyjść naprzeciw, bowiem on jest gwiazdą, która wzeszła z Jakóba, jak napisane jest w Biblji. Przez cały dzień byłam pełna lęku i nie mogłam znaleźć spokoju. A dzisiaj leżałam, i oto przyszedł do mnie znowu duch mego ojca i chwycił mię rękoma i przyniósł mię tutaj.

Odsunęła koszulę i pokazała ślady paznogci na ciele, w miejscach, gdzie dotknęła jej ręka ojca. Powyżej prawej piersi i na lewem biodrze były krwawe blizny.

Nastąpiło długie milczenie. Osobliwy lęk powstrzymywał wszystkich od przemówienia do dziewczyny. Ciche marzycielstwo, fanatyczną wiarę, tajemniczą ekstazę i szał bachanalij — wszystko to widzieli albo czuli. Ale ten jawny cud, tak blisko przed oczyma, stropił ich i natchnął trwogą.

Czarny tłum wynurzył się w kierunku bramy i zbliżył się z głuchym, niespokojnym pomrukiem. Koło domu przedpogrzebowego zapalili pochodnie, które rzucały krwawy blask na twarze i których dym zaciemniał tarczę księżyca. Z pochyłości wzgórza nadszedł Zacharjasz Naar, ujął Zirlę za rękę i rzekł głośno i wyraźnie:

— Prowadź ich, córo Syjonu! Wszyscy, którzy tu nadchodzą, pokłonią się przed tobą.

W uliczkach miasteczka noc zamieniła się w dzień. Wszędzie stali podnieceni ludzie. Z Ottensoos, Schnaittach, Unterfarrnbach i Hüttenbach zeszli się Żydzi. Nikt nie wiedział, w jaki sposób tak szybko rozeszła się wieść, że w Fürth wydarzyło się coś niezwykłego na roli bożej i że każda godzina jest niewyczerpana w nowych wydarzeniach.

Dokończenie nastąpi.

Jadwiga Courths-Mahler

CZERWONE RÓŻE

POWIEŚĆ

przełożyła Barmińska

Hrabia Rainer Ramberg kocha księżniczkę, siostrę panującego księcia. Dynastyjne jednak względy skłaniają księżniczkę do poślubienia władcy sąsiedniego księstwa. Hrabia Rainer szuka zapomnienia w podróżach i dopiero po latach wraca w ojczyste strony. W czasie odwiedzin u ministra księcia, hrabiego von Waldow, prosi o rękę jego córki, swej 21letniej siostrzenicy. Ona, zawsze pełna podziwu dla swego wuja, z radością przyjmuje jego oświadczyny. Hrabia Rainer postanowił zamieszkać w sąsiedztwie na zamku Ramberg, zamieszkiwanym dotychczas przez jego kuzynkę, hrabinę Gerlindę, wdowę po hrabim Roch. 30letnia piękna hrabina kocha namiętnie swego kuzyna i łudzi się nadzieją poślubienia go. Pewnego dnia zjawia się nagle hrabia Rainer na zamku Ramberg, by zawiadomić swą kuzynkę o mających nastąpić zaręczynach z Jostą, córką hrabiego von Waldow. Rozczarowana tą wiadomością, hrabina Gerlinda przysięga w duszy zemstę, odnosi się jednak z pozorną serdecznością do narzeczonej, gdy ta jednego dnia zjawia się wraz z ojcem na zamku Ramberg. Hrabina Gerlinda ofiaruje Jóście i jej ojcu swą przyjaźń.

Minister roześmiał się.

— Ta znakomita osobistość dziękuje za tak dobre pojęcie o niej. A w rezultacie mogę panią zapewnić, pani hrabino, że ode mnie, jako ministra tak małego księstwa, nie są wcale wymagane jakieś wybitne zdolności. Nieco dzielności, obowiązkowości i średnie zdolności, to wszystko, — rzekł z ożywieniem.

Hrabina uśmiechnęła się subtelnie.

— Pozwoli pan, Ekscelencjo, że ja o tem zachowam własne zdanie. Od najmłodszych lat czułam specjalny szacunek i uznanie dla mężów stanu. A teraz otrzymam od ciebie, Josto, siostrzany pocałunek.

Hrabina przyciągnęła do siebie młodą dziewczynę i pocałowała ją.

Josta i jej ojciec pożegnali się wkrótce z hrabiną Gerlindą i poprosili, by wieczorem odwiedziła ich w „Dziewiczym Zameczku“ razem z Rainerem i jego bratem. Hrabina przyrzekła przyjść, gdyż w przeciwnym razie musiałaby samotna pozostać w pałacu. Hrabia Rainer odprowadził narzeczoną i jej ojca do domu.

— No, Josto, jak ci się podoba Gerlinda? — zapytał hrabia na powrotnej drodze. — Czyż nie jest uroczą kobietą?

Najchętniej powiedziałaby Josta swemu narzeczonemu, że coś niezrozumiałego odpycha ją i ostrzega przed hrabiną. Ale nie mogła tego odpowiedzieć na jego radośnie wyczekujące spojrzenie. Raczej poniosłaby największą ofiarę, aniżeli miałaby zgasić ten jasny błysk jego oczu.

— Jest niezwykle piękna, mądra i miła, — rzekła.

— Cieszę się, żeście tak odrazu zawarły przyjaźń, — rzekł znowu hrabia Rainer. — Będziemy w Rambergu mocno zdani na siebie, — dodał.

— Stanowczo nie będzie mi w Rambergu smutno, Rainerze. O to się nie kłopocz. Będę przecież miała...

Urwała i zarumieniła się.

„Będę przecież miała ciebie“, chciała powiedzieć. Ale dokończyła:

— Będę przecież miała Gerlindę i ciebie. Nie pragnę wcale licznego towarzystwa. Czasami zdaje mi się, że sama wystarczyłabym sobie na długo i nie nudziłabym się.

— Bo wtedy jesteś w doskonałem towarzystwie, — odparł hrabia Rainer przekonywująco.

Josta uśmiechnęła się.

— Masz mi nie prawić komplementów! Wydajesz mi się wtedy taki obcy. Dawniej nie robiłeś tego nigdy. Przeciwnie, nieraz mnie karciłeś, kiedy coś zbroiłam.

Hrabia ujął czule jej dłoń i spojrzał na nią głębokim wzrokiem.

— Teraz to zupełnie co innego, Josto. Stałaś się przecież damą. Jakżebym cię mógł jeszcze karcić! — rzekł nawpół serjo, nawpół żartobliwie.

Wesoły uśmiech zaigrał na ustach Josty. Nagle stała się na chwilę dawną, beztroską Jostą.

— Więc nigdy mnie już nie będziesz karcił?

— Naturalnie, że nie!

— Właściwie szkoda...

— Dlaczego?

— Gdyż wolę twoją naganę, niż czyjeś pochwały.

Wzruszony hrabia przycisnął jej dłoń do swoich ust.

— Psujesz mnie, Josto, gotów jestem teraz jeszcze od czasu do czasu robić ci wymówki i karcić cię.

Kiedy powóz zatrzymał się przed „Dziewiczym Zameczkiem“, Rainer zapytał:

— Czy mogę jeszcze przez pół godzinki korzystać z waszego towarzystwa?

Josta ucieszyła się, że hrabia chce zostać z nią, ale nie okazała tego. Rzekła tylko przyjaźnie:

— Wypij z nami herbatę. Teraz ojczulek towarzyszy mi zawsze przy herbacie, gdyż wie, że już niedługo będę z nim razem. Więc jeżeli nie robi ci to różnicy, możemy jeszcze przegawędzić godzinkę.

— Naturalnie, że zostanę, jak długo mi będzie wolno i jak długo nie będę przeszkadzał.

— Ty mi nigdy nie przeszkadzasz!

— Ale myślałem, że masz jeszcze dużo do zrobienia na jutro. A dziś wieczór też masz gości, chociażby tylko Gerlindę, Henninga i mnie.

— O, dziś wieczór będziemy w gronie rodzinnem, nie będzie więc dużo fatygi. Podać tylko o trzy nakrycia więcej, to wszystko! A jutro dostaję jeszcze jedną siłę pomocniczą. Ciotka Marja, kuzynka mamy, przyjeżdża jutro rano i zamieszka tu na stałe. Zobowiązała się prowadzić ojczulkowi gospodarstwo, kiedy mnie już tu nie będzie, a teraz dopomoże mi przy sprawianiu wyprawy.

— O, to doskonale! Więc nie potrzebuję sobie robić wielkich wyrzutów, że cię zabieram ojcu, — rzekł hrabia.

Wszyscy troje weszli tymczasem do małego, przytulnego saloniku Josty i usiedli, a służący wjechał ze stolikiem na kółkach, na którym wszystko było już przygotowane.

Siedzieli tak razem do godziny szóstej. Potem odwołano Jostę na chwilę. Kiedy dwaj panowie zostali sami, minister rzekł:

— Między licznemi powinszowaniami, które nadeszły od różnych osób, znajdował się też list od arcyksiężnej Heleny, załączony do przepięknego bukietu kwiatów dla Josty. Zabrałem ten list, żeby ci go pokazać. Oto on.

Minister wyjął z bocznej kieszeni kopertę, ozdobioną koroną, i podał ją Rainerowi.

Hrabia sięgnął po nią i zwrócił się do ministra, mówiąc spokojnie i poważnie:

— Gdybym nawet nie wiedział, że wszystko już przebolałem, to teraz właśnie przekonałbym się o tem. Kiedyś nie mógłbym listu od tej osoby tak spokojnie trzymać w ręce.

Hrabia Rainer przeczytał list arcyksiężnej. Był adresowany do ministra i brzmiał następująco:

„Proszę przyjąć do wiadomości, Ekscelencjo, że w tem szczęśliwem zdarzeniu, które spotkało Jego rodzinę z radością przyjmuję jaknajserdeczniejszy i najgorętszy udział. Niechaj udziałem Pańskiej córki będzie życie bogate, pełne szczęścia i niech jej będzie danem nietylko być szczęśliwą, ale też uszczęśliwiać. Przecież dla nas kobiet to jest najważniejsze. W szczęściu ludzi, stojących u naszego boku, znajdujemy też i własne szczęście. Proszę Pana, Ekscelencjo, pozdrowić i powinszować w mojem imieniu młodej parze. A także i Pana, drogi Ekscelencjo, serdecznie pozdrawiam.

Pozostaję życzliwa

Arcyksiężna Helena".

Z uśmiechem oddał Rainer list ministrowi.

— Gdyby mi ktoś wtedy, kiedy musiałem zrezygnować z posiadania tej kobiety, powiedział, że będę pewnego dnia z takim spokojem czytał słowa, pisane jej ręką, nie uwierzyłbym nigdy!

Po chwili wróciła Josta.

Hrabia Rainer spojrzał na zegar.

— O, już tak późno! Więc mogę prosto stąd udać się na dworzec i oczekiwać brata.

— Bardzo się cieszysz z jego przyjazdu, prawda? — zapytała Josta.

— Tak, Josto! Jesteśmy bardzo przywiązani do siebie. Pisał mi już, żebym zarezerwował w twojem serduszku kawałek miejsca i dla niego.

Wreszcie hrabia pożegnał się z Jostą i jej ojcem. W pierwszej chwili chciał Jostę pożegnać pocałunkiem w dłoń, ale jednak uczucie poniosło go. Szybko objął ją ramieniem i pocałował w usta. I znów uczuł lekki opór, a wargi jej były zimne. Cierpliwie przyjęła pocałunek, nie odwzajemniając go jednak.

Hrabia cierpiał z tego powodu bardzo. I przez całą drogę na dworzec rozmyślał nad tem, jakby najmądrzej i najostrożniej wzbudzić w Joście to, czego teraz tak gorąco pragnął.

Tymczasem Josta siedziała w swoim buduarze, i zwierzała się ze swych wrażeń i uczuć pamiętnikowi. Wkońcu napisała:

„Poznałam więc hrabinę Gerlindę. W pierwszej chwili, kiedy ją ujrzałam, a ona podeszła do mnie, miałam jakieś dziwne, niewyjaśnione uczucie, że mnie nienawidzi. W jej oczach ujrzałam jakiś niesamowity błysk, który mię przeraził do głębi serca. Ale musiało mi się jednak to wszystko tylko zdawać, sądzę, że w ostatnich dniach stałam się nieco nerwowa. Dlaczegóżby mnie miała nienawidzić? Głupie jakieś myśli mnie widać opanowały. Gerlinda była przecież dla mnie tak miła, tak przyjazna, chce mi być przyjaciółką i siostrą. A ja wzamian za to odwdzięczam się jej wrogiemi podejrzeniami. To jest niegodziwe z mojej strony i muszę wszelkiemi siłami zwalczyć w sobie te uczucia".

ROZDZIAŁ 14

Kiedy hrabia Rainer odjechał z Jostą i jej ojcem, hrabina Gerlinda krążyła niespokojna po swoich pokojach, jak lew w klatce. Twarz miała bladą, a oczy jej lśniły niesamowicie.

Wreszcie zmęczona usiadła na krześle o wysokiem oparciu, na którem wyobrażony był herb rodowy Rambergów, misternie rzeźbiony w drzewie dzik, skaczący przez trzy róże. Zanim usiadła, przyjrzała się Gerlinda herbowi i pomyślała o jego pochodzeniu.

Jeden z przodków hrabiów Rambergów był ze swoim władcą na polowaniu. Panujący książę chciał zabić dzika, ale oszczep ułamał się i książę upadł. Raniony dzik rzucił się na księcia, ale w ostatniej chwili hrabia zasłonił księcia własną piersią i ubił dzika. Został jednak przez dzika raniony.

Rannego przodka w chorobie odwiedził książę i księżna, która w dowód wdzięczności przyniosła zbawcy trzy czerwone róże i położyła je na poduszce.

Następnie postanowił książę na pamiątkę tego zdarzenia dać hrabiom Rambergom w herbie trzy róże, przez które skacze dzik z tkwiącym w grzbiecie oszczepem. A od tego czasu czerwone róże są w rodzie hrabiów Rambergów symbolem szczęścia.

Ta stara historja niewiele zainteresowania wzbudzała w hrabinie Gerlindzie. Cóż ją teraz obchodziła przeszłość! Co innego widziała teraz oczyma duszy: wysmukłe, piękne dziewczę, ze wspaniałemi, kasztanowatemi włosami i dużemi, przedziwnemi oczyma. A Rainer nazwał to dziewczę swą narzeczoną i patrzał na nią gorącym wzrokiem.

— Gdyby myślą można było zabić, zabiłabym ją, — syczała przez zęby, a namiętna nienawiść skrzywiła jej twarz.

I ciągle na nowo, ku swej męce, widziała w wyobraźni hrabiego Rainera, jak pełen zachwytu spoglądał na swoją narzeczoną.

Twarz hrabiny mieniła się cierpieniem, a oczy płonęły. Miłość i nienawiść szarpały jej duszę. Lecz tylko jej nienawiść była prawdziwa. Miłość nie. Jej miłość nie była czysta i bezinteresowna, jaką prawdziwa miłość powinna być.

Hrabina podniosła się i znużonym ruchem zadzwoniła na służącego. Kiedy się zjawił, zapytała szorstko:

— Czy pan hrabia wrócił?

— Nie, jaśnie pani. Pan hrabia telefonował, że wróci dopiero o siódmej, razem z hrabią Henningiem.

— Dobrze. Proszę mi podać herbatę! — rozkazała.

Służący wyszedł.

Hrabina znów spacerowała po pokojach, aż służący przyniósł herbatę. Wypiła filiżankę mocnej, gorącej herbaty, by przezwyciężyć ociężałość członków. Rzuciła okiem do weneckiego lustra i przeraziła się: jakże była blada i znużona!

„Muszę się uspokoić i bez takich uniesień zdążać do celu!"

Udała się do swojej garderoby, chciała dziś wyglądać niebywale. Ciągle obserwowała się bacznie w lustrze.

Była jeszcze piękna. I teraz jeszcze mogła rywalizować z Jostą, ale jak długo jeszcze potrwa, aż zacznie przekwitać? Najpiękniejsze lata straciła u boku mężczyzny, którego nie kochała i którego męczyła swemi kaprysami i obojętnością uczucia.

Myśl, że miała już trzydzieści lat, i że jej rywalka była prawie o dziesięć lat młodsza, sprawiała jej niewysłowione męki. Z lękiem szukała w swej twarzy pierwszych zwiastunów przekwitania. Dzięki Bogu, nic jeszcze nie można było spostrzec! Cera jej była jeszcze delikatna i świeża, a rysy miękkie i czyste. Tylko wokół ust zarysował się ostatniemi dniami jakiś ostry grymas, a w kącikach oczu ukazały się maleńkie zmarszczki. To wszystko musi Anna usunąć umiejętnym masażem! Oko w oko ze swem odbiciem w lustrze, była myślą ciągle przy znienawidzonej Joście.

A głębokie westchnienia nieustannie unosiły jej pierś.

ROZDZIAŁ 15

Hrabia Rainer oczekiwał na dworcu swego brata Henninga, a kiedy się ujrzeli, uściskali się serdecznie. Mieli sobie dużo do opowiedzenia i zanim się spostrzegli, powóz zajechał przed pałac.

Kiedy nadeszły bagaże hrabiego Henninga, bracia rozstali się.

— Gdy będziesz gotów, Henningu, przyjdź tu do mnie, — rzekł hrabia Rainer.

— Przebiorę się szybko na wizytę do ministra. Ale powiedzno, czy mogę tak wpaść późnym wieczorem do twojej narzeczonej, bez złożenia jej przedtem oficjalnej wizyty? — zapytał Henning, śmiejąc się.

— Stanowczo możesz, Henningu. Przedewszystkiem znasz zarówno moją narzeczoną, jak i jej ojca od wielu już lat, a po wtóre jesteśmy jedną rodziną. Zresztą będzie nam towarzyszyć Gerlinda. Może pójdziesz się do niej przywitać, kiedy już będziesz przebrany, tylko nie zatrzymuj się u niej długo, bo chcę się jeszcze tobą nacieszyć.

— Naturalnie! Przecież wiesz, że Gerlinda i ja niewiele sobie mamy do powiedzenia. Niebardzo zgadzamy się ze sobą.

— Tego nie mogę pojąć, Henningu, taka z niej przecież urocza kobieta!

— Hm! Być może! Ale nie jest w moim guście. A więc dowidzenia tymczasem, mój stary!

To mówiąc, hrabia Henning opuścił brata i udał się do swego pokoju.

Niebawem był gotów, i z lustra wyjrzało ku niemu odbicie smukłej sylwetki pięknego porucznika. Jeszcze tylko poprawił galowy pas, potem zrobił wojskowy zwrot i pomaszerował do hrabiny Gerlindy. Kazał się zameldować i zapytać, czy może ją przywitać; otrzymał odpowiedź, że będzie jej bardzo miło.

Hrabina była już kompletnie ubrana na wieczór. Miała na sobie białą suknię jedwabną, opadającą w miękkich fałdach, z małem wycięciem wokoło szyi.

Hrabia Henning spojrzał zaskoczony na to cudne zjawisko. Dziś wydawała mu się znacznie piękniejsza i bardziej ludzka, aniżeli w tych imponujących żałobnych szatach.

— Cieszę się, że cię znów widzę, drogi kuzynie, — rzekła hrabina w dobrym humorze. Nie uszło jej uwagi, że wzbudziła swoim wyglądem zachwyt i ucieszyło ją to bardzo.

— Cała radość po mojej stronie, Gerlindo. Dawnośmy się już nie widzieli.

— Niestety! Stałeś się rzadkością w Rambergu, a jak ci się powodzi, nie mam potrzeby pytać. Wyglądasz, jak uosobienie radości życia.

Gdy tylko hrabina zaczęła mówić, zniknęło miłe wrażenie, jakie na pierwszy rzut oka wywarła na nim. Hrabia widział, że jej oczy spoglądają zimno i wcale nie biorą udziału w tych przyjaznych słowach.

— Wydam ci się może banalnym, jeżeli ci to samo powiem, a tego trzeba się strzec wobec tak inteligentnej niewiasty. Ale w moim skarbcu mowy nie znajduję odpowiedniego słowa na określenie wrażenia, jakie na mnie wywarła twoja olśniewająca postać. Cieszę się w każdym razie, że już nie nosisz żałobnych sukien. Jestem pewien, że nie możesz piękniej wyglądać, niż w tej olśniewającej bieli, — rzekł uprzejmie, mimo antypatji, którą nadal czuł do niej. — No, ale nie będę ci dłużej przeszkadzał. Chciałem cię tylko jaknajprędzej przywitać. Więc dowidzenia! Rainer powiedział mi, że jedziemy potem razem do Waldowów.

— Tak jest. Proszę cię, powiedz Rainerowi, żeby mi dał znać, kiedy będzie czas wyruszyć.

— Chętnie. Więc dowidzenia tymczasem!

— Dowidzenia!

Hrabia grzecznie ucałował jej dłoń, ukłonił się i wyszedł. Kiedy po chwili wchodził do brata, ten zawołał:

— Chodź, chodź, mój drogi chłopcze, siadaj tu koło mnie. Może przekąsisz coś?

— Nie, dziękuję. Zaczekam już do kolacji.

— A może wina? Konjaczku? Papierosa?

— Papierosa, owszem, Rainerze. O, jak tu teraz przyjemnie. Boże, gdybyś ty wiedział, jak ja tęskniłem za taką chwilą, spędzoną z tobą, drogi mój bracie! Wieczność całą nie widzieliśmy się.

— Niestety! Ale to nie powinno być możliwe między nami.

— Masz rację! Bywają jednak okoliczności! Hm! No, więc jesteś kandydatem do stanu małżeńskiego! Strasznie mi się to wydaje komiczne! Żebym tylko doszedł do porozumienia z twoją narzeczoną! Bo widzisz, Rainerze, dotychczas żaden człowiek jeszcze nie stanął między nami. A teraz uczyni to Josta. Więc nie pozostaje mi nic innego, jak objąć was razem swojem braterskiem uczuciem.

Hrabia Rainer ujął dłoń brata.

— Jestem spokojny o to, że się na pewno polubicie. Gdy ją bliżej poznasz, pokochasz ją jak siostrę.

— Pragnę tego! Jestem taki zadowolony i właściwie wdzięczny Joście, że uwolniła mnie od strasznych obaw, mianowicie, że mogłoby ci przyjść na myśl poślubić Gerlindę!

Hrabia Rainer spojrzał na niego zdumiony.

— Gerlindę? Skąd taki pomysł?

— No, skąd! Jednak mogłoby się to zdarzyć! A widzisz, sprawiłoby mi to straszny ból. Dlatego próbowałem już, czy potrafię się obejść bez twego widoku i widywałem cię ostatnio tak mało. Gdyż Gerlinda i ja... o, nie! Między nami byłby zawsze rozdźwięk!

Hrabia Rainer ze śmiechem potrząsnął głową.

— Głuptas z ciebie! Nie powinieneś mieć tego rodzaju obaw. Gerlinda i ja? Nie, jakkolwiek ją cenię i podziwiam, to jednak na żonę nie chciałbym jej. Wogóle, nie wziąłbym nigdy za żonę kobiety, która już przedtem należała do innego. Taki ze mnie osobliwy człowiek. To, co ja biorę w swoje ramiona, musi być nienaruszone.

Henning śmiał się beztrosko.

— Więc niepotrzebnie się niepokoiłem. Jak właściwie przyjęła Gerlinda wiadomość o twoich zaręczynach? Przecież ona musi się teraz przenieść do wdowiego domu.

— Tak, musi się przenieść. I przyjęła tę konieczność z godnym podziwu spokojem.

— Wprost trudno mi w to uwierzyć! Ale wiedziała, że to konieczne, więc z musu zrobiła zasługę. A poza tem niedługo ona tam zostanie. Gerlinda nie wygląda na kobietę, która już zrezygnowała z radości życia. Jak się odniosła do twojej narzeczonej?

— Serdecznie i przyjaźnie. Kiedy bliżej poznasz Gerlindę, to przekonasz się także, jak źle ją teraz sądzisz!

— No, bardzo byłbym zadowolony, gdyby się okazało, że się mylę. Wiesz, że nie lubię być niesprawiedliwym.

— Wiem o tem, Henningu, — rzekł hrabia Rainer serdecznie, ściskając dłoń brata.

ROZDZIAŁ 16

Josta czekała wraz ojcem na dwóch braci i Gerlindę w saloniku, przylegającym do jadalni. Była ubrana w jasnoniebieską suknię z lśniącego, miękkiego jedwabiu. Szyję i ramiona miała gołe i bez ozdób. Tylko na pięknych dłoniach błyszczał prócz zaręczynowego pierścionka cudny pierścień ze szmaragdem, otoczonym brylantami. Ten pierścień odziedziczyła po zmarłej matce i nosiła go od dnia jej śmierci jak talizman.

Podeszła do hrabiego Henninga dumnie i serdecznie zarazem, i podała mu dłoń, uśmiechając się do niego słodko i patrząc mu przyjaźnie w oczy.

— Jak się masz, Henningu! Tak mogę pana teraz nazywać? — rzekła i ucieszyła się, że oczy Rainera rozbłysły na to jej serdeczne przywitanie, jakiem przyjęła jego brata.

Lecz hrabia Henning stanął na chwilę zmieszany i wzruszony do głębi jej miłym wdziękiem. Oczy jego rozbłysły nietajonym zachwytem.

— Droga Josto... tak, to pani... a jednak nie poznałbym pani. Tak się pani zmieniła! Tylko oczy, tak, oczy są te same! A jednak nie, i one się zmieniły! — rzekł wzruszony i oszołomiony.

I nagle przyciągnął jej dłoń do swoich ust. Następnie odwrócił się nagle z wysiłkiem, odrywając od niej wzrok, i nabrawszy głęboko tchu, rzekł do brata:

— Tak, Rainerze, teraz cię rozumiem! Josta stała się przedziwnie piękną kobietą. O, wspaniale będziecie się do siebie nadawać!

Brzmiało to tak impulsywnie, tak z głębi serca, że Josta zarumieniła się gwałtownie. A Rainer, mimo że cieszył się ogromnie temi słowami uznania ze strony brata, uczuł jednak niejasną, dziwną potrzebę stłumienia nieco tego entuzjazmu.

— Jesteś podniecony, Henningu! — rzekł niepewnie.

— Tak, Rainerze, cieszę się... tak bardzo się cieszę, że Josta będzie moją bratową! — rzekł Henning serdecznie.

Niejasne uczucie opuściło Rainera.

— Musisz wiedzieć, droga Josto, że przeżywałem okropny lęk, żeby tylko narzeczona brata nie była mi niesympatyczną, — ciągnął dalej już uspokojony Henning. — Nie wiem, cobym zrobił, gdybym nie mógł odrazu cię polubić. To musi mieć u mnie miejsce zaraz za pierwszem widzeniem. Wiem zawsze zaraz na początku, czy dany człowiek będzie mi miły, czy też nie. Ale przyszedłem już przygotowany przyjąć cię do swego serca.

— Tak, Josto, musimy się teraz razem znajdować w sercu Henninga, ale chętnie ustępuję ci zeń połowę, — rzekł hrabia Rainer.

Wkrótce potem udano się do stołu.

Minister prowadził hrabinę Gerlindę, a Rainer narzeczoną. Henning towarzyszył młodej parze, a jego błyszczące oczy nie odrywały się od smukłej postaci Josty.

Hrabia Henning był uszczęśliwiony, że mógł narzeczoną brata obdarzać tak gorącą sympatją. Żaden niepokój ani skrępowanie nie mąciło jego zachwytu. Uświadamiał sobie tylko jedno, że jeszcze nigdy w życiu nie czuł się tak szczęśliwy, jak tego wieczora.

Josta beztrosko i z przyjemnością gawędziła z Henningiem. Roztoczył przed nią kilka obrazów wspomnień, z których Josta śmiała się serdecznie.

Rainer z uśmiechem przysłuchiwał się dwojgu młodym i cieszył się z dobrego humoru Josty. Ale jednocześnie pomyślał o tem, jaka to szkoda, że nie jest już tak młodym i pełnym życia, jak Henning.

„Jestem jednak za stary dla Josty, za stary i za poważny. Gdybym był takim, jak Henning, wtedy pokochałaby mnie z pewnością“, myślał.

Josta wciągnęła go do rozmowy.

— Prawda, Rainerze, że będę miała w Rambergu konia pod wierzch i że często będziesz ze mną wyjeżdżał? — rzekła, śmiejąc się.

Hrabia natychmiast zapomniał o tem, co go trapiło. Spojrzał w rozpromienione oczy Josty i pochwycił jej dłoń, by ją ucałować.

— I nie będzie dla mnie większej przyjemności, jak to, że będziesz mi towarzyszyła w konnej jeździe. Wtedy będziemy się czuli jak w Waldowie, — rzekł.

Hrabia Henning dodał:

— W takim razie od czasu do czasu i ja się do was przyłączę, kiedy będę na urlopie w Rambergu. Nie czekam mianowicie, aż mnie zaprosisz, droga Josto, tylko odrazu sam się zapraszam.

Josta spojrzała na niego przyjaźnie.

— Myślę, że jesteś w Rambergu, jak u siebie w domu. Tak że niepotrzebne jest zaproszenie, prawda, Rainerze?

Rainer skinął głową. I pozbywszy się już wszelkich niepokojących myśli, rzekł:

— O tem wie Henning doskonale, Josto; ale pragnął też usłyszeć to od ciebie! A teraz, — dodał, — musicie wypić na braterstwo!

Henning zerwał się natychmiast. Oczy rozbłysły mu, jakby ktoś odgadł jego najgorętsze pragnienia. Zbliżył się do Josty, trzymając w ręce napełniony kielich.

Josta śmiejąc się, trąciła kieliszkiem o jego kieliszek. Henning wychylił swój do dna i rzekł rozpromieniony:

— A teraz braterski pocałunek, Josto. Witam cię, jako moją najdroższą siostrzyczkę!

Z temi słowy objął ją i przycisnął usta do jej ust.

Josta ze spokojem zezwoliła na to. Nie broniła się przed pocałunkiem Henninga, jak to czyniła wobec Rainera. Ale Henningowi krew uderzyła do głowy, kiedy objął Jostę ramionami i dotknął wargami jej ust.

Dwoje oczu przyglądało się bacznie tej scenie, dwoje oczu, których uwadze nic nie uszło. Były to oczy hrabiny Gerlindy. Hrabia Rainer był w tym momencie zajęty rozmową z ministrem, a zaczerwienienie brata położył na karb jego zmieszania i niepewności.

Ale w sercu Gerlindy to spostrzeżenie wzbudziło szaloną radość. I nie spuszczała teraz oczu z dwojga młodych, jakgdyby chciała swemi nikczemnemi pragnieniami osiągnąć nad nimi władzę.

Po kolacji, kiedy wszyscy udali się do drugiego pokoju, hrabina Gerlinda podeszła do Josty, i obejmując

ją poufale, rzekła najsłodszym głosem, na jaki się mogła zdobyć:

— Mamy dziś uroczy wieczór, droga Josto. Cieszę się ogromnie, że cię poznałam i nie mogę się już doczekać chwili, kiedy przybędziesz do Rambergu. Zostaniemy serdecznemi przyjaciółkami i będziemy się wzajemnie obdarzać największem zaufaniem, prawda?

Josta pomyślała sobie, że niemożliwem będzie dla niej, zaufać Gerlindzie czegoś, czego nie mogłaby powiedzieć każdemu człowiekowi. Ale w tej chwili zauważyła oczy swego narzeczonego, które z radosnem zadowoleniem spoczywały na niej i na Gerlindzie, i pod wpływem tego spojrzenia rzekła:

— Będę bardzo szczęśliwą, jeżeli będziemy się mogły naprawdę wzajemnie obdarzać zaufaniem. Ale ja w gruncie rzeczy jestem mało udzielającą się naturą. Musisz się uzbroić w dużą dozę cierpliwości.

— To się już samo zrobi! Nie będziesz mogła inaczej, gdy się bliżej poznamy.

Hrabia Henning podszedł do Josty:

— Chciałaś mi pokazać fotografje, Josto. Czy mogę cię o to poprosić?

Josta przeprosiła hrabinę, szybko wyzwoliła się z jej ramion i udała się z Henningiem do przyległego pokoju. Hrabina zbliżyła się do hrabiego Rainera i ministra i wdała się z nimi w rozmowę, tak iż wcale nie spostrzegli, jak długo Josta z Henningiem byli nieobecni.

Josta otworzyła pudełko i wyjęła z niego stos fotografij. Rozmawiała z Henningiem o tych zdjęciach, które jej zmarła matka sama robiła. Te właśnie chciała mu pokazać.

Henninga interesowały wyłącznie zdjęcia jej osoby. Jedną fotografję za drugą układał przed sobą w kolejności, w jakiej pragnął je widzieć. Obserwował ją uważnie i ciągle, jakby dla porównania zatapiał w jej twarzy badawczy wzrok.

— Taką cię widziałem po raz ostatni, Josto! I obojętnie minąłem cię, nie mając pojęcia, że kiedyś będziesz moją bratową, że staniesz się tak piękną i uroczą kobietą, — rzekł Henning i wziął nową fotografję do ręki.

To zdjęcie wyobrażało Jostę i hrabiego Rainera na koniach na dziedzińcu w Waldowie.

— Tu nas mama sfotografowała, kiedyśmy wrócili z naszej pierwszej dalszej przejażdżki konnej, — objaśniła Josta.

Henning przyglądał się fotografji.

— Szkoda, że twojej twarzy nie widać tu dokładnie, odwróciłaś ją w bok. Ale Rainer wyszedł doskonale. Wiesz, Josto, że Rainer wspaniale wygląda na koniu, prawda?

— Tak, — rzekła Josta tylko.

Henning ciągnął:

— Wogóle Rainer jest człowiekiem, którego trzeba ciągle podziwiać. Gdybym go nie kochał tak bardzo, zazdrościłbym mu.

Josta westchnęła głęboko.

— Tak, Rainer jest człowiekiem, o którego można być zazdrosnym, — rzekła cicho.

Henning spojrzał na nią niepewnie.

— A teraz kochasz go...

Josta wyprostowała się, a twarz jej zbladła:

— Nie, nie kocham go! — wyrwało się jej, jakby w lękliwej samoobronie.

Hrabia Henning zadrżał i spojrzał na nią odrętwiałym wzrokiem. I on nagle pobladł.

— Josto! — zawołał z lękiem.

Gwałtownie przesunęła dłonią po czole i próbowała się uśmiechnąć.

— Nie masz się czego lękać, Henningu, i musisz mię zrozumieć. Nigdy nie myślałam o tem, że zostanę kiedyś jego żoną, widziałam w nim przecież zawsze tylko swego poczciwego wujaszka Rainera. Naturalnie, że go bardzo lubię, jak się właśnie lubi dobrego wujaszka, któremu można z całego serca zaufać. I on bez entuzjazmu, z największym spokojem zapytał mnie, czy chcę zostać jego żoną. A ja zgodziłam się, gdyż lubię go bardzo i mam do niego największe zaufanie.

— A gdy pewnego dnia zbudzi się w twojem sercu gorąca, prawdziwa miłość i zwróci się do innego mężczyzny? — zapytał Henning.

Josta gwałtownie potrząsnęła głową:

— To się nigdy nie stanie!

Henning zerwał się nagle i przetarł ręką czoło.

— Zdaje mi się, że tu jest strasznie gorąco. Czy mogę otworzyć okno, Josto?

Z temi słowy odwrócił się w stronę okna, by ukryć przed nią twarz. Nie chciał, żeby widziała, jak jego twarz drga ze zdenerwowania. Wiadomość, że Josta nie kocha Rainera, poruszyła go do głębi.

— Możesz Henningu! Poczekaj, pomogę ci rozsunąć firanki, — rzekła i podeszła do niego.

Henning nie mógł sobie poradzić ze sznurkami i mimo jej pomocy nie mogli jakoś dojść do ładu. Ręce ich zetknęły się; jego dłonie drgnęły i cofnęły się.

— Pozwól, że sama to zrobię, Henningu, bo inaczej nic z tego nie będzie, — rzekła Josta, uśmiechając się ze swobodą, — coraz bardziej plączemy sznurki.

Henning usunął się nabok i gorącym wzrokiem przyglądał się jej smukłej postaci.

Hrabina Gerlinda widziała ze swego miejsca w przyległym pokoju obydwoje młodych. Podchwyciła to gorące niespokojne spojrzenie, jakiem hrabia Henning obserwował Jostę. Dzika radość wypełniła jej serce. Zdawało się, jakgdyby jej pragnienia spełniły się. Ale w tej samej chwili hrabia Henning zauważył, że Gerlinda obserwuje go. Płomień w jego oczach zgasł natychmiast. Wzrok hrabiny doprowadził go do równowagi.

Z pozornym spokojem podszedł znów do stolika, na którym leżały fotografje, i usiadł na krzesełku.

Kiedy Josta swobodnie podeszła do niego, zapytał nagle, chcąc zmienić temat:

— Czy Gerlinda jest ci sympatyczna, Josto?

Spojrzała na niego niepewnie i zawahała się chwilę. Ale potem wyrwało jej się:

— Wstydzę się, Henningu, że muszę powiedzieć nie. Ona jest bardzo serdecznie i przyjaźnie do mnie usposobiona, i tak pragnęłabym ją polubić, bo Rainer obdarza ją takim szacunkiem i zaufaniem! Ale jakieś dziwne uczucie nie pozwala mi przylgnąć do niej sercem. Rainerowi nie mogę powiedzieć o tem głupiem uczuciu, gdyż nie chcę go zmartwić. I ty nie mów mu nic o tem. Zwymyślaj mnie za tę głupotę. Zacóżby mnie Gerlinda miała nienawidzić?

Henning zamyślił się głęboko.

— Może to nie przywidzenie w tym wypadku, lecz instynktowne przeczucie, Josto. Słyszałem, jak Gerlinda mówiła ci o swej przyjaźni i prosiła cię o bezwzględne zaufanie. Ja ci radzę, bądź z nią ostrożna! Ze mną dzieje się to samo, co z tobą: i ja nie mogę nakłonić serca ku niej. Rainer nie może tego zrozumieć.

On zawsze broni. Dlatego też nie żądał od niej, by się przeniosła do wdowiego domu. No, ale teraz musi to nastąpić, i co do mnie, bardzo jestem z tego rad. I tak będzie jeszcze dość często przebywać w zamku, ale przynajmniej już tam nie będzie panią!

— Tak, i w rzeczywistości musi ona wyprowadzić się z zamku przeze mnie. I może dlatego czuje do mnie żal. Ale wolałabym, gdyby mi to szczerze okazała.

— Przyrzeknij mi, Josto, że będziesz się miała na baczności i że nie powierzysz jej nic, czegobyś nie mogła powierzyć każdemu człowiekowi.

Josta roześmiała się.

— Przedewszystkiem jestem bardzo skryta i obdarzam zaufaniem tylko ludzi, którzy są bliscy mojemu sercu! A zresztą, cóż miałabym jej do powierzenia? Nie mam żadnych tajemnic!

Henning ujął jej dłoń.

— Czy wiesz, że w tej chwili powiedziałaś mi coś bardzo miłego?

Josta spojrzała na niego spokojnie pytającym wzrokiem:

— Bo co ja właściwie powiedziałam?

— Że obdarzasz zaufaniem ludzi, którzy są bliscy twemu sercu. A właśnie mnie coś zaufałaś.

Josta wesoło skinęła głową.

— Bo też ty naprawdę jesteś mi bliski, Henningu. Przecież jesteś bratem Rainera! Muszę cię za to lubić. Czynię to też z całego serca i nie przychodzi mi to z trudnością.

Henning przycisnął jej dłoń do swoich ust:

— Dziękuję ci, Josto, pragnę się okazać zawsze godnym twego zaufania.

Josta potakiwała mu z uśmiechem.

— Wiem o tem. No, a teraz nie mam już więcej fotografij do pokazania, więc chodźmy tam!

Potem zamknęła pudełko i z ufnością oparła się o jego ramię. Ramię w ramię stanęli na progu. Rainer spojrzał ku nim i ujrzał ich z widocznem jeszcze na młodych twarzach zdenerwowaniem.

Josta wysunęła rękę z pod ramienia Henninga i szybko podeszła do Rainera, jakgdyby nie mogła inaczej postąpić. Rainer odetchnął głęboko, jak po wielkim wysiłku.

A oczy hrabiny Gerlindy błyszczały, kiedy ujrzała Jostę i Henninga na progu w tak poufałej pozie. I ona zrobiła spostrzeżenie, że młode ich twarze były jeszcze zarumienione od przeżytego wzruszenia. Ale kiedy Josta stanęła u boku Rainera, a on był dla niej tak uprzejmy, przymknęła Gerlinda na długą chwilę oczy, jakgdyby nie chciała tego widzieć.

Niedługo potem dwaj bracia i hrabina Gerlinda podnieśli się.

— Dobranoc, moja ukochana Josto, — rzekł hrabia Rainer na pożegnanie do narzeczonej i pocałował ją w rękę.

Josta podchwyciła to „ukochana Josto“ z bijącem sercem. „Ach, gdybymż naprawdę była jego ukochaną Jostą, gdybymż mogła unicestwić tę drugą kobietę, którą zawarł w swem sercu!“ wołało w niej coś. „Gdybym chociaż wiedziała, kto ona! Czy Henning wie coś o niej? I czy powie mi, gdy go o to zapytam?“

Ale hrabia Henning wiedział tyleż, co i inni ludzie o miłosnej tragedji, jaką przeżył jego brat. Wiedział tylko, że Rainer przez długie lata cierpiał nad utratą jakiejś kobiety. Imię tej kobiety pozostało mu nieznane.

ROZDZIAŁ 17

Po powrocie do domu bracia, pożegnawszy hrabinę Gerlindę, rozmawiali ze sobą jeszcze z godzinę. I po raz pierwszy coś obcego, coś niewyjaśnionego stanęło między nimi.

Henning długo tej nocy nie mógł zasnąć. Rozmyślał znów nad sprawami, o których jednak nie chciał myśleć. Nagle jedna myśl przeszyła go, jak prąd elektryczny. „Co powie i zrobi Rainer, gdy przyjdę do niego i powiem: Niesprawiedliwie postępujesz, żeniąc się z Jostą bez miłości! Ona nie wie, co czyni, oddając ci się bez miłości. Ale ty znasz to uczucie, wiesz, co to miłość, i obowiązkiem twoim było ostrzec ją przed tym krokiem. Jeśli nie kochasz Josty, zwróć jej wolność!“

Długo tak męczył się rozmyślaniami w ciemną noc.

Kiedy następnego rana wszedł do pokoju brata, zobaczył, jak ten przebiera między swojemi fotografjami.

— Pomóż mi wybrać najlepsze zdjęcie, Henningu. Słyszałeś, że Josta prosiła mnie o fotografję. Chcę jej posłać jedną z różami, — rzekł Rainer.

Wtedy dopiero spostrzegł Henning wspaniały kosz ponsowych róż. Stały na stole. I nagle przypomniała mu się pewna scena.

W zeszłym roku Rainer przyjechał do Berlina, by go odwiedzić. I wtedy Henning, kiedy wyszli na ulicę, wstąpił z Rainerem do pewnej kwiaciarni, w której chciał zamówić kwiaty dla narzeczonej kolegi, która tego dnia obchodziła imieniny. Obojętnie wybrał pierwszy lepszy kosz kwiatów, były to czerwone róże. Ale Rainer położył mu dłoń na ramieniu i rzekł:

— Henningu, czerwone róże daruje się tylko kobiecie, którą się kocha.

Wtedy Henning śmiejąc się wybrał inne kwiaty.

To wszystko przypomniało mu się teraz.

Przypadkowo spojrzał przed siebie do lustra i ujrzał w niem, jak Rainer, stojąc przy czerwonych różach, głaskał je pieszczotliwie i całował.

Henning zagryzł wargi. Teraz wiedział napewno, że Josta myli się, jeżeli wierzy w to, że Rainer jej nie kocha.

Z głębokiem westchnieniem ujął jedną z fotografij, która mu się wydała najwierniejszem odbiciem rysów Rainera.

— Tę posłałbym na twojem miejscu, Rainerze. Josta ucieszy się nią bardzo, — rzekł. — Rozmawiałem z nią wczoraj o tobie, kiedy przeglądaliśmy w drugim pokoju fotografje. Czy wiesz, co ona o tobie powiedziała? Że jesteś człowiekiem, o którego można być zazdrosnym.

Rainer, silnie wzruszony, chwycił brata za ramiona:

— Dziękuję ci, żeś mi to powiedział, Henningu! Bo widzisz, tak się tego lękam, że Josta widzi we mnie tylko starego, poczciwego wujka Rainera. I chwilami wydaję się sobie w porównaniu z nią strasznie stary. O, gdybym był o dziesięć lat młodszy! Śmiej się ze mnie, mój drogi chłopcze! Kiedy się w moim wieku jeszcze raz popada w niewolę miłości, to jest to bardzo źle!

Henning pochwycił dłoń brata i ścisnął ją między swojemi.

— Nie widzę w tem nic śmiesznego, Rainerze. Josta jest tak godną miłości! Rozumiem cię w zupełności. Ale i ty jesteś godnym miłości, i dlatego muszę się śmiać, że wydajesz się sobie za stary. Jeszcze raz życzę ci dzisiaj z całego serca szczęścia. Ty i Josta jesteście jakby stworzeni dla siebie, i nie może być inaczej, tylko

musi cię kochać! Już ona przestanie widzieć w tobie poczciwego wujka!

Hrabiego Rainera te słowa brata uczyniły wesołym i szczęśliwym.

A Henning? Odważnie ścisnął swe serce w dłoniach i rzekł sobie stanowczo, że to co się nagle wczoraj zbudziło w jego sercu do Josty, musi spokojnie i rozsądnie stłumić.

Potem udali się na wspólną przejażdżkę. W lesie, wpobliżu bażantarni, wysiedli i poszli kawałek pieszo drogą. Spotkali ministra, który wyszedł trochę na spacer.

Z uśmiechem oznajmił, że nikt z „Dziewiczego Zameczku“ nie miał czasu mu towarzyszyć. Ciotka Marja już przyjechała, ale i ona i Josta są bardzo zajęte.

Bracia zobaczyli się z hrabiną Gerlindą dopiero przy obiedzie w pałacu Ramberskim.

Hrabina była wyjątkowo miła i ożywiona. Od wczoraj wieczór miała nadzieję, że jej pragnienie rozłączenia Josty z Rainerem lub przynajmniej zniweczenia ich miłości, spełni się. A w hrabim Henningu widziała sprzymierzeńca.

Tym razem czas upłynął im w trójkę niezwykle mile i wesoło. Hrabina okazała się mistrzynią w prowadzeniu inteligentnej, dowcipnej pogawędki, a przytem wyrażała się o Joście słowami pełnemi zachwytu.

„A jednak jest w niej coś nieszczerego i podstępnego“, myślał hrabia Henning.

ROZDZIAŁ 18

Powóz za powozem zajeżdżały przed „Dziewiczy Zameczek“, a wyjątkowo uroczyście i wytwornie ubrani goście zebrali się w jasno oświetlonych salonach reprezentacyjnych.

Obok Ekscelencji von Waldowa stała w wysokoskrzydłych drzwiach starsza dama o siwych włosach i świeżej, sympatycznej twarzy. Była to owdowiała baronowa von Seydlitz, kuzynka zmarłej żony ministra, która w przyszłości miała zająć się jego gospodarstwem.

Teraz z godnością czyniła honory domu.

Opodal dwojga staruszków stała para narzeczonych. Smukła, arystokratyczna postać hrabiego Rainera, wspaniale prezentowała się w eleganckim, świetnie skrojonym fraku.

Nie mniej urocza była młoda narzeczona. Wyglądała dziś pięknie w białej, srebrem tkanej sukni z lśniącym diademem w bronzowych włosach. Ten diadem był podarunkiem zaręczynowym hrabiego Rainera, i Josta włożyła go dziś po raz pierwszy na jego żądanie.

Narzeczeni przyjmowali istną falę życzeń. Wiadomem było także, że para arcyksiążąt przyjdzie również na chwilę zaszczycić młodą parę swą obecnością. Naturalnie, że do czasu przybycia wysokich osobistości nastrój był bardzo sztywny.

Hrabina Gerlinda czarowała wszystkich, znajdujących się w jej towarzystwie, swym wdziękiem i inteligentnym sposobem prowadzenia konwersacji.

Wreszcie zjawiła się para książęca ze swą świtą, i uprzejmie witając wszystkich, obeszli olbrzymią salę balową, zaszczycając ministra i narzeczonych dłuższą rozmową. Także baronowa Seydlitz i hrabia Henning zostali wciągnięci do rozmowy. W tym czasie księżna spostrzegła hrabinę Gerlindę, stojącą nieco na uboczu. Zwróciła na nią uwagę swego małżonka, i hrabina Gerlinda została także zaszczycona krótką rozmową.

Dopiero po odejściu pary książęcej nastrój stał się swobodniejszy i weselszy.

Minister poprowadził do stołu hrabinę Gerlindę, a po drugiej jej stronie zajęli miejsce hrabia Rainer z narzeczoną. Hrabia Henning siedział naprzeciwko pary narzeczonych. Jego towarzyszką była młoda hrabianka Solms, powabna brunetka w typie cygańskim.

Mała baronówna była bardzo milutka, chociaż nie piękna. A że rozmawiała dość żywo, więc hrabia Henning nie potrzebował się zbytnio trudzić zabawianiem jej. Pozostawało mu dużo czasu na rzucaniu spojrzeń w stronę Josty.

Hrabina Gerlinda mogła go dobrze obserwować ze swego miejsca i liczyła wszystkie jego spojrzenia, rzucane na Jostę.

Josta tęskniła za końcem uczty. Wogóle byłoby jej znacznie milej, gdyby mogła uniknąć tej oficjalnej uroczystości zaręczynowej. Ale ponieważ ślub miał się odbyć tylko w ścisłem gronie najbliższej rodziny, gdyż większość towarzystwa bywa w tym czasie nieobecna w rezydencji, minister uważał za konieczne urządzenie tych oficjalnych zaręczyn.

Ale nawet najdłuższe uroczystości mają swój koniec. Po północy goście zaczęli się rozchodzić. Josta przyjęła to z westchnieniem ulgi.

Powoli pokoje opróżniły się. Przez chwilę było jeszcze głośno i gwarno w hallu i w garderobie, aż wreszcie odjechali i ostatni goście.

Hrabina Gerlinda i dwaj bracia pozostali jeszcze w małym salonie i rozmawiali z ministrem i jego damami, aż przebrzmiał turkot ostatniego powozu.

Hrabia Henning miał następnego dnia bardzo wcześnie wyjechać do Berlina i dlatego musiał się już dziś pożegnać.

Josty miał już nie ujrzeć aż do jej ślubu, a przez ten czas musiał nagle wybuchłe ku niej uczucie stłumić i naprowadzić na tory braterskiego sentymentu.

Z tem postanowieniem pożegnał się najpierw z baronową Seydlitz i z ministrem. Potem zwrócił się do Josty. Jego młoda twarz pob'adła i drgała lekko pod wpływem wzruszenia, kiedy ze swym miłym, ach, tak miłym uśmiechem podała mu dłoń, mówiąc przytem z serdecznem ciepłem:

— Jaka szkoda, Henningu, że dostałeś tak krótki urlop! Niechętnie rozstaję się z tobą.

Henning próbował żartować:

— Masz przecież Rainera i nie odczujesz mego braku.

— Ach, Rainer także jutro w południe odjeżdża z Gerlindą zpowrotem do Rambergu. Prawda, Rainerze?

Rainer skinął potakująco głową:

— Muszę, Josto. Obowiązek mnie wzywa.

— Ale zobaczymy się znowu niebawem, drogi Henningu, — rzekła Josta serdecznie, — a tymczasem bywaj zdrów.

— Bądź zdrowa, Josto, dowidzenia!

Oczy Henninga jeszcze raz objęły uroczą postać Josty z radosnym błyskiem.

„Kiedy ją znów zobaczę, chcę być zupełnie spokojnym, chcę!“ postanowił w duchu.

I powiedział sobie jeszcze, że lepiej będzie, jeśli poprzestanie na pożegnalnem ucałowaniu ręki. Do braterskiego pocałunku nie był dość spokojnym, a inaczej

nie powinien i nie chciał całować narzeczonej brata. Nie, nie chciał, mimo oszołamiającego uroku jej pięknych, czerwonych ust. Ale zadowolonym też był, że te usta nie zostały w jego obecności pocałowane przez Rainera. Nie mógłby znieść tego widoku.

ROZDZIAŁ 19

Hrabia Rainer widział się jeszcze raz z narzeczoną, zanim następnego dnia powrócił do Rambergu; wykorzystał tę okazję, by zapytać Josty, czy nie ma ona jakiś specjalnych życzeń co do zmiany urządzeń w pokojach, które będzie zajmowała w Rambergu.

Josta pragnęła, żeby nic w nich nie zmieniano.

— Dopiero, kiedy będę już w Rambergu, postaram się, by pokoje nabrały wyglądu według mojego smaku. Zależy to najczęściej od drobiazgów, Rainerze. Wiem, że lepiej jest takie pokoje pozostawić w ich dawnym stylu i starać się jak najmniej wprowadzać zmian.

— Cieszę się, że w tym wypadku jesteś tego samego zdania, co ja, Josto, — rzekł hrabia, — i myślę, że będziesz zadowolona. Pokoje, należące zwykle do pani na Rambergu, są najładniejsze w zamku.

Josta spojrzała na niego pytająco.

— Te pokoje są zawsze zamieszkane tylko przez panią domu, prawda?

— Tak jest.

— Więc do tej chwili przez Gerlindę?

— Tak, Gerlinda mieszka w nich jeszcze, ale zanim wrócimy, przeniesie się do wdowiego domu, żeby można było doprowadzić pokoje do porządku na twoje przyjęcie. A więc nie zobaczymy się już, aż do naszego ślubu, droga Josto! Jeżeli będziesz miała jakieś życzenia, to musisz mi ich udzielić listownie. Czy uczynisz to?

Mówiąc to, ujął obydwie jej dłonie i spojrzał jej błagalnie w oczy.

Josta zaniepokoiła się. W jego oczach zabłysło coś, czego nie mogła sobie wytłumaczyć, co ją wzruszyło, i czego tak tęsknie wyczekiwała. Ach, gdyby nie usłyszała, że kocha inną, o ileż byłaby teraz szczęśliwsza! Możeby się nigdy o tem nie dowiedziała, i myślałaby, że jego czułość pochodzi z głębi uczucia. Ale niestety, wiedziała doskonale, że Rainer obdarza ją tylko ojcowskiem uczuciem, a kocha inną.

I dlatego postanowiła być spokojną i zadała sobie przymus, by spojrzeć na niego zrównoważonym wzrokiem.

Wówczas hrabia onieśmielony wypuścił jej ręce.

Nie zdążyli już zamienić ze sobą ani słowa, gdyż w tej chwili weszły z przyległego pokoju baronowa von Seydlitz i Gerlinda, i aż do rozstania nie byli ze sobą sami.

ROZDZIAŁ 20

W „Dziewiczym Zameczku“ nie urządzano już większych przyjęć towarzyskich. Minister miał też mniej zajęć i mógł trochę więcej czasu poświęcać córce. Z baronową von Seydlitz zżył się doskonale.

Codzień nadchodziły z Rambergu świeże kwiaty i zawsze były to czerwone róże, które przysyłał hrabia Rainer. Załączał zawsze kilka serdecznych słów. Ale żadne z tych słów nie dawało Joście radości ani przeczucia, jak jest kochaną i jak miłość ta potęguje się z dnia na dzień.

I tak minęły, jak błyskawica, dni, dzielące ją od ślubu.

W podróż poślubną wybierali się do Szwecji i Norwegji. Josta dawno już marzyła o takiej wyprawie na północ, bo kraje te wcale nie były jej znane.

Hrabina Gerlinda starała się wykorzystać czas, który pozostał od zaręczyn do ślubu, by wznieść mur nieufności pomiędzy narzeczeństwem.

W przeddzień przeprowadzki, wieczorem po kolacji, hrabia Rainer zapytał:

— Czy mogę ci jeszcze przez godzinkę dotrzymywać towarzystwa, Gerlindo?

Hrabina z uśmiechem skinęła głową.

— Naturalnie, drogi kuzynie. Wiesz dobrze, że twoje towarzystwo jest mi zawsze bardzo miłe.

Jak zwykle była bardzo starannie ubrana. Miała na sobie białą, nieco fantazyjną toaletę, z opadającemi luźno rękawami.

Poprosiła o papierosa, gdyż wiedziała o tem, że paliła wyjątkowo ładnie, niejedną już na ten temat usłyszała pochwałę.

Hrabia umilkł i w zamyśleniu śledził kłęby szarego dymu.

Nagle hrabina rzekła:

— Teraz myślisz o swojej pięknej narzeczonej, kuzynie, czuję to!

Hrabia zdumiony spojrzał na nią i uśmiechnął się niepewnie.

— Czy umiesz odgadywać myśli, Gerlindo?

— Czasami tak! Ale w tym wypadku nie trzeba być telepatą. Tak marząco patrzysz w dal z pewnością tylko wtedy, kiedy myślisz o swojej narzeczonej.

Hrabia Rainer westchnął i otrząsnął popiół z papierosa.

— Czy jeszcze wątpisz o tem, że będę szczęśliwy z Jostą?

Hrabina zrobiła gwałtowny ruch obronny.

— Nie pytaj mnie o to, mówmy o czemś innem, — rzekła szybko.

Ale w duchu pragnęła, by dalej nalegał na odpowiedź, gdyż chciała mówić i wzbudzać w nim zwątpienie.

I hrabia postąpił tak, jak pragnęła.

— A gdybym jednak nalegał na odpowiedź, Gerlindo?,..

Hrabina wzruszyła ramionami i wrzuciła papierosa do popielniczki.

— Drogi przyjacielu, ze względu na nasz stosunek mogę ci tylko odpowiedzieć szczerze i uczciwie. Nie mogę cię zbyć frazesem. Ale jeśli znów mam być szczerą, to muszę cię zaniepokoić, a tego nie chciałabym.

Każde jej słowo było podstępne i zgóry obmyślone.

Hrabia wyprostował się.

— Musisz mi odpowiedzieć szczerze i uczciwie! Czy wątpisz, że będę z Jostą szczęśliwy?

Wtedy hrabina rzekła cicho:

— Drogi kuzynie, właściwie nie powinieneś wywierać na mnie presji. Ale jeżeli żądasz szczerości, więc będziesz ją miał. Ostatniemi dniami dużo się zastanawiałam nad tobą i Jostą. Kochasz ją, o tem wiem. Pierwszą miłość już pogrzebałeś, lecz muszę dodać „niestety“. Gdyby to uczucie jeszcze w tobie nie zamarło, to mógłbyś spokojnie żyć u boku swojej młodej żony i zadowalniać się tem, czem cię ona może obdarzyć. Ale ponieważ ty ją kochasz, więc będziesz też wymagał miłości, a Josta nie kocha cię. Jej młodość nie może

zwrócić się do ciebie z gorącem uczuciem i nigdy to nie nastąpi. Zdaje mi się, że Josta przeraziłaby się śmiertelnie, gdyby się dowiedziała, że ty odnosisz się do niej z innem uczuciem, niż „poczciwy wujaszek Rainer“ może się odnosić. O, gdybyś był młody, jak twój brat Henning! Ale tak, mój drogi przyjacielu, mogę tylko życzyć ci z głębi duszy, żeby się w jej młodem sercu nigdy nie obudziło gorące uczucie dla innego. Wtedy wasze małżeństwo będzie pełne harmonji. A z całego serca pragnę tego dla ciebie!

Hrabia Rainer spoglądał przed siebie z zaciśniętemi wargami.

O, Gerlinda umiała dobierać słowa! Jakże go męczyły i gnębiły, jaki lęk wzbudziły w nim! Lęku tego nie mógł się już pozbyć.

— Możliwe, że twoje obawy są słuszne, Gerlindo, — rzekł hrabia, — i ja myślałem już podobnie. Powiem ci otwarcie, że gdybym wiedział, jak to nowe, gorące uczucie mnie zmieni, może nie miałbym odwagi wiązać się z Jostą. Ale stało się już, i teraz nie pozostaje mi nic innego, jak czekać, co mi los przyniesie. Lecz wiedz o tem, że zawsze szczęście Josty będzie mi ważniejsze, niż moje własne. Jeżeli jej serce zbudzi się dla innego, wtedy będę tylko myślał o niej i pomogę jej z całych sił. Narazie jej serce jest wolne, i nie mogę nie mieć nadziei, że pewnego dnia zwróci się ono do mnie. W każdym razie dziękuję ci, Gerlindo, za twoją szczerość i życzliwość!

Hrabina odniosła zwycięstwo znacznie większe, niż się spodziewała.

Hrabia Rainer stracił ochotę do dalszej rozmowy. Posiedział jeszcze przez chwilę, potem pożegnał ją i udał się do swoich apartamentów.

ROZDZIAŁ 21

Nadszedł wreszcie dzień ślubu Josty. Oczekiwała tego dnia z lękiem i zarazem tęsknotą.

Na jej biureczku stał teraz portret Rainera i kiedy pisała swój pamiętnik, spoglądała ciągle w jego twarz, mając wrażenie, że to jemu powierza wszystkie swoje tajemnice.

„Kiedy go opuszczę, kiedy umrę, niech przeczyta ten pamiętnik i niech się dowie, jak bardzo go kochałam, gdyż wtedy nie będę się już musiała wstydzić swojej miłości.“

Tak pisała w pamiętniku w przeddzień ślubu.

A kiedy pakowano kufry do podróży poślubnej, Josta włożyła pamiętnik i fotografję Rainera do skrzyneczki, którą wstawiła do jednej z walizek. Nie chciała się rozstawać z tem na czas podróży.

W przeddzień ślubu przybyli goście z dalszych okolic, a z nimi i narzeczony.

Hrabina Gerlinda znajdowała się również w jego towarzystwie.

Przybył też między innymi baron Rittberg ze swoją małżonką, a hrabia Rainer prosił ich, aby zamieszkali w jego pałacu. Zgodzili się na to chętnie. Baron Rittberg miał być drużbą.

Baronowa nie mogła się doczekać chwili poznania Josty. Miało to miejsce w wigilję ślubu. I natychmiast została oczarowana urokiem i wdziękiem panny młodej i dała wyraz swoim zachwytom w powrotnej drodze do pałacu.

— Dietrichu, masz rację, narzeczona Rainera jest znacznie piękniejsza od Gerlindy; patrzy na człowieka tak, że serce się rozgrzewa. A jej włosy, Dietrichu, co za włosy! Czegoś tak wspaniałego nie widziałam jeszcze. Kiedy zamieszka już w Rambergu, muszę któregoś dnia wpaść do niej podczas rannej toalety i powiedzieć jej, że za wszelką cenę pragnę zobaczyć jej rozpuszczone włosy. Jestem nią doprawdy oczarowana.

Baronowej aż tchu zbrakło i musiała głęboko odetchnąć, by móc mówić dalej.

— Odpocznij trochę, Lizo, — rzekł baron dobrodusznie i dodał żartobliwie: — A jak będziesz szła na tę rewję, to mnie zabierz z sobą!

— Ależ, Dietrichu, co ty pleciesz!

— Cóż w tem złego, przecież jestem już nieszkodliwym starym panem, a lubię popatrzeć na coś pięknego. A może jesteś zazdrosna, Lizo?

— Jeszcze czego! Nie byłam zazdrosna w czasach, kiedy byłeś przystojnym, wysmukłym mężczyzną, a teraz na starość miałabym rozum stracić?

Baron wybuchnął serdecznym śmiechem.

— Nieźle mówisz, Lizo!

Baronowa z lękiem uniosła rękę.

— Ależ Dietrichu, nie śmiej się tak głośno. Tuż obok nas znajdują się pokoje hrabiny Gerlindy, możliwe, że przeszkadzamy jej we śnie.

— Ach, racja, nie jesteśmy przecież w domu, — rzekł baron przyciszonym głosem.

Tymczasem baronowa przygotowywała sobie balową suknię na jutrzejszą uroczystość. Następnie wyjęła z pudełka parę niezwykle maleńkich, wytwornych pantofelków na bardzo wysokich obcasach. Baron, widząc je, przerwał swój spacer po pokoju.

— O, czy to są balowe pantofelki na jutro, Lizo? Co za maleństwa! Wyobrażam sobie, jak ty się w nich jutro zmęczysz i z jaką ulgą odetchniesz, kiedy już je zdejmiesz z nóg. Lizo, ciągle jeszcze jesteś pod tym względem niepoprawna.

Ale mówiąc to, baron bawił się filigranowemi pantofelkami, kołysząc je na swej szerokiej dłoni, a przyglądał im się tak rozpromienionym wzrokiem, że łatwo było wyczuć, jak dumny był i zachwycony tem, że jego żona ma tak maleńkie nóżki.

Baronowa uśmiechnęła się nieco zawstydzona. — Ach, Dietrichu, dajże spokój. Wiesz przecież, że pantofle na bardzo wysokich obcasach to moja słabość.

Baron wciąż jeszcze przyglądał się pantofelkom zachwyconym wzrokiem.

— Tak, Lizo, ale i twoje nóżki są niemniej godne podziwu. Zastanawia mnie tylko, jak ty możesz tak raźnie kroczyć przez życie na takich maleńkich nóżkach! Wiesz, Lizo, że gdyby urządzono konkurs nóżek, to dostałabyś pierwszą nagrodę i nie mogłaby się wtedy z tobą mierzyć ani hrabina Gerlinda, ani wogóle żadna piękność.

Baronowa roześmiała się. — Dietrichu, przestań wygadywać głupstwa, kładźmy się spać, bo jutro czeka nas starych uciążliwy dzień.

— No, no, Lizo, starość jeszcze nam tak bardzo nie dokucza. Ale naturalnie, że odwykliśmy od uroczystości, ciągnących się do późna w noc, w Rittbergu chodzimy spać razem z kurami.

ROZDZIAŁ 22

Josta obudziła się owego ranka z uczuciem przygnębienia i smutku. Nie było w niej nic z radosnych i szczęśliwych uczuć, jakiemi przepełniona jest zwykle narzeczona w dzień ślubu. Mimo że człowiek, któremu miała być poślubiona, był jej drogim i kochanym, jak nikt na świecie, lękała się tej chwili, kiedy zostanie związana z nim na wieki, gdyż była przekonana, że on nie kocha jej.

W pragnieniu ulżenia swej duszy wyciągnęła jeszcze raz z kufra swój pamiętnik. Wyjęła także fotografję Rainera i przyciskając ją do ust i do serca, spoglądała na nią długo. Jakże go kocha, ach, jak niewymownie kocha!

A w pamiętniku napisała:

„Dziś jest mój ślub. Jeszcze tylko kilka godzin, a będę żoną Rainera. O, mój ukochany, gdybyś Ty wiedział, jaki lęk i wahanie gnębią moją duszę! Z jaką radością śpieszyłabym w twoje ramiona, gdybyś Ty mnie tak kochał, jak ja Ciebie! Nieraz podczas ostatnich tygodni miałam wrażenie, że zdobędę Twoją miłość, lecz dziś opuściła mnie ta nadzieja i gdybym mogła dziś postąpić tak, jak powinnam, to uciekłabym od Ciebie daleko i ukryła się na całe życie. Ale nie posiadam już woli i przykuta jestem do Ciebie własnem mojem pragnieniem. Ach, gdybyś mnie kochał, gdybyś mnie raz objął swemi silnemi ramionami i pocałował, jeden jedyny raz, aż do utraty przytomności, o chętnie umarłabym potem! Ale Twoje wargi dotykają moich tak spokojnie i łagodnie, jak kiedy ojciec całuje swoje ukochane dziecko. O, mam wtedy ochotę krzyczeć i błagać Cię, tuląc się do Twej piersi i... Co ja mówię, za dumna jestem, by nawet w myśli ująć w słowa te rozpaczliwe błagania. Dzięki Bogu, że nie wiesz, co się dzieje w mojej duszy i nigdy się tego nie dowiesz, póki będę żyła. Błagać o miłość, nie, tego nie chcę, ani nie mogę uczynić. Byłoby to też bezcelowe. Do miłości nie można nikogo zmusić, ani jej też u nikogo wybłagać.

I przyszła chwila, gdy trzeba się przyodziać w ślubne szaty, dla innych symbol najwyższego szczęścia, dla mnie rezygnacji. Daj mi moc, Boże wielki, bym była silna i spokojna..."

Z westchnieniem odłożyła Josta pióro i zamknęła pamiętnik. Schowała go znów do kufra razem z fotografją, a kluczyk wzięła do siebie.

ROZDZIAŁ 23

W „Dziewiczym Zameczku" od wczesnego rana trwał ruch i gwar. Mimo że ślub miał się odbyć tylko w gronie najbliższych, zebrało się jednak na tę uroczystość około pięćdziesięciu osób. O dwunastej w południe przybył hrabia Rainer ze swoim bratem. Hrabia Henning był nieco blady, a jego oczy spoglądały niespokojnie. Ale hrabia Rainer miał wygląd bardzo spokojny i opanowany.

Kiedy bracia przybyli do „Dziewiczego Zameczku", goście byli już zebrani w komplecie. Hrabina Gerlinda także już przyjechała wraz z baronostwem Rittberg. I ona zwracała uwagę swoją bladością. Oczy gorzały jej jak w gorączce, a wargi odcinały się gorącą czerwienią od bladej twarzy.

Minister także był wzruszony, lecz nie dawał tego poznać po sobie. Zabawiał gości, starając się wytworzyć nieskrępowany nastrój.

Hrabia Rainer po przywitaniu z obecnymi udał się nagórę do narzeczonej, by ją sprowadzić do gości. Wszystkie urzędowe formalności ślubu miały się odbyć w domu narzeczonej. Później miano się udać na uroczystość kościelną do zamkowej kaplicy.

Kiedy hrabia Rainer udał się po narzeczoną, brat jego niespostrzeżenie ukrył się za firanką w niszy okna, by uniknąć spojrzeń obecnych. Krew spłynęła mu do serca, gdy drzwi się otworzyły i ukazała się Josta w ślubnym stroju, pod rękę z Rainerem.

Głęboka cisza panowała w salonie, podczas podpisywania aktu zaślubin.

Zarówno hrabia Henning, jak i hrabina Gerlinda potrzebowali całego wysiłku woli, by nie zdradzić swoich uczuć.

I stało się: Josta była teraz hrabiną Ramberg.

Oparta na ramieniu swego męża, przeszła przez szpaler gości.

Potem udali się wszyscy do kościoła, a po godzinie było już po formalnościach kościelnych.

Josta stała blada i cicha u boku swego męża, przyjmując ze wszystkich stron życzenia i powinszowania.

Hrabia Henning musiał też wreszcie podejść do nowożeńców. Ale nie był w stanie wypowiedzieć słowa. Niemo uścisnął brata, potem blady nachylił się nad dłonią Josty i przycisnął ją do ust.

Hrabina Gerlinda także podeszła do młodej pary. Kurczowo uścisnęła Jostę w ramionach, a wargi jej wymówiły bezdźwięcznie życzenia.

Kiedy potem podała Rainerowi dłoń, którą ten przycisnął do ust, zdobyła się na wypowiedzenie kilku słów stłumionym głosem:

— Drogi kuzynie, wiesz, czego ci życzę z całego serca. Będę błagać Boga o spełnienie tych życzeń.

I znowu objęła Jostę ramionami.

— Także i dla ciebie, Josto! — dodała.

Uroczystość weselna przyjęła normalny obrót. Odbył się wspaniały obiad. Przycichły nieco burze uczuć i wkońcu zapanował bardzo miły, swobodny nastrój.

Nawet hrabia Henning wpadł w lepszy humor. Szybko wypił kilka kieliszków wina i mógł teraz swobodniej patrzeć na Jostę.

A Josta siedziała milcząca, zamknięta w sobie. Rainer również z trudem udzielał się otoczeniu.

Kiedy dzisiaj wszedł nagórę po narzeczoną, stanął przy drzwiach, jak wryty, uderzony w samo serce jej niezwykłą w tej chwili urodą i czarem. Z trudem opanowując wzruszenie, ujął ją w ramiona i rzekł:

— Nie zapominaj nigdy o tem, kochana Josto, że twoje szczęście jest mi o wiele ważniejsze, niż moje własne. Przyrzeknij mi, że mi we wszystkiem zaufasz i że zwrócisz się do mnie z każdem życzeniem.

Jego spokój pomógł i jej się opanować. I chociaż serce chciało jej wyskoczyć z piersi, cicho złożyła swą dłoń w jego ręce i rzekła z powagą:

— Będę ci zawsze ufała, Rainerze, jak dotychczas. I ja pragnę ci dać szczęście, spełniać twoje życzenia i obowiązki, jakie mię u twego boku czekają.

Hrabia Rainer wolałby stokrotnie, żeby Josta zamiast tych słów jeden chociaż raz ucałowała go z własnej woli i serdecznie.

I tak zeszli razem do gości. Serca ich jednakowo były wypełnione miłością i tęsknotą, i jednakowo starali się nie zdradzić swych uczuć jedno przed drugiem.

ROZDZIAŁ 24

Skończył się uroczysty obiad. Podczas gwaru, jaki towarzyszył przy wstawaniu od stołu, pani Seydlitz podeszła do Josty.

— Dziecko moje, czas już przebrać się do podróży, — rzekła i wyprowadziła Jostę z grona biesiadników.

Nikt nie spostrzegł wymknięcia się narzeczonej, prócz trzech osób, których wzrok spoczywał na niej bez przerwy. Byli to hrabia Rainer, jego brat i hrabina Gerlinda.

Henning stał złamany i blady. Jego oczy towarzyszyły jeszcze Joście przy przejściu przez sąsiedni pusty pokój i widział, jak przechodząc przez niego, opuściła na ziemię białą, koronkową chusteczkę.

Nagle wstąpiło weń życie. Jak zahipnotyzowany skierował się ku niej niepewnym krokiem. Z lękiem rozejrzał się dokoła, pokój był pusty. Szybko schylił się po delikatną jak biała mgiełka chusteczkę i podniósł ją. Potem przycisnął ją do ust, dwa, trzy razy. Drżącemi rękoma ukrył ją na piersi i bez sił osunął się w stojący opodal fotel.

Wszystko to widziała ukryta za firanką Gerlinda. W jej oczach zapłonął dziki, triumfalny błysk. Miała teraz pewność, że Henning kocha żonę swego brata. Na tem budowała swoje przyszłe plany.

W parę chwil później widziała, jak Rainer pożegnawszy się z ministrem, wszedł do pustego pokoju, w którym siedział jego brat.

— O, nareszcie znalazłem cię, — rzekł do Henninga. Szukałem cię wszędzie. Nie chciałem odjechać bez pożegnania się z tobą.

Henning objął brata i uścisnął go mocno. Miał minę, jakby mu chciał coś ważnego powiedzieć. Ale Rainer pożegnał się prędko; był już najwyższy czas przebrać się do podróży.

Kiedy drzwi zamknęły się za Rainerem, Henning powlókł się zwolna, jak chory, w stronę okna, i usiadł na fotelu. Tu chciał zaczekać na odjazd nowożeńców i jeszcze ostatni raz ujrzeć Jostę.

Nagle tuż za nim rozległ się kobiecy głos:

— Znowu dwoje szukających szczęścia! Lecz wątpię mocno, Henningu, czy je kiedykolwiek posiądą.

Hrabia przestraszony odwrócił bladą twarz. Wszelkiemi siłami starając się opanować swoje wzruszenie, zapytał:

— Co masz na myśli, Gerlindo?

Był tak zajęty sobą, że nawet nie zastanowił się nad tem, skąd się tu tak nagle wzięła. Nie zwrócił też uwagi na to, że była tak samo jak on blada i zdenerwowana.

Hrabina wzruszyła ramionami i odparła powoli, cedząc słowa:

— Co mam na myśli? Przecież wiesz, kuzynie równie dobrze, jak ja, że Josta nie kocha Rainera.

Henning wyprostował się i spojrzał na nią ostro.

— Skąd wiesz o tem, Gerlindo?

Hrabina roześmiała się cicho, przejmująco.

— Ja się ciebie nie pytam, skąd ty wiesz o tem! Ale powiem ci, skąd wiem: od samego Rainera. A Josta, no, ona nie wie jeszcze, co zrobiła. Ale ja wiem; kto sam tego doświadczył, ten wie, jak pustem i nędznem jest życie kobiety, która nie kocha.

Każde jej słowo wżerało się boleśnie w serce Henninga.

— Poco mi to mówisz, Gerlindo? — zapytał.

— Ach, tak sobie. Czasem człowiek dzieli się swemi wrażeniami, nie wiedząc, dlaczego. Ależ zostawmy to, Henningu, oboje nie jesteśmy dziś w doskonałych humorach.

— W jakim ja jestem nastroju, o tem ty nie możesz wiedzieć.

— Tak mi się zdawało. Wiem przecież, jak bardzo jesteś przywiązany do brata. Straciłeś go dziś przez Jostę.

Henning uważał, że lepiej będzie pozostawić ją w tem mniemaniu, a nie miał pojęcia, jak dalece Gerlinda znała stan jego duszy.

— Tak, jesteśmy pokrzywdzeni, — rzekł hrabia.

Gerlinda przytaknęła:

— Tak, jesteśmy pokrzywdzeni. I mnie jest smutno. Wszak straciłam w Rainerze najlepszego przyjaciela.

— No, dość głupstw, Gerlindo, niepotrzebnie niepokoimy się przedwcześnie. Miejmy nadzieję, że Rainer i Josta wrócą z podróży poślubnej zadowoleni i szczęśliwi.

Hrabina opuściła głowę uśmiechając się:

— Życzę im tego tak samo szczerze, jak i ty.

Henning zerwał się.

— Myślę, że powinniśmy udać się do gości, Gerlindo. Uroczystość jeszcze trwa. Czy mogę ci służyć ramieniem? Zabawmy się wesoło, — rzekł nerwowo, usiłując przybrać swobodną minę.

Hrabina oparła się na ramieniu Henninga. W milczeniu weszli do salonu, gdzie zastali rozbawione towarzystwo.

ROZDZIAŁ 25

Hrabia Rainer i jego młoda żona troskliwie ukrywali przed sobą tajemnicę swych serc. Ukazywali sobie nawzajem spokojne i beztroskie oblicza, jakby oboje byli zadowoleni z uczuć, na które składały się tylko sympatja i szacunek.

Szybko minęło tych kilka tygodni do ich powrotu, lecz niewiele zbliżyli się uczuciami do siebie.

Dwunastego sierpnia miał się odbyć uroczysty wjazd młodej pary do Rambergu.

Rainer w związku z tem jeszcze przed wyjazdem omówił wszystko z Heilmannem. Rządca dodał jeszcze wiele od siebie, tak, iż przystrojono nietylko zamek od wewnątrz i zewnątrz, ale i całą drogę, wiodącą od parku do zamku. Już brama parkowa była przybrana w kwiaty i zieleń.

Pierwszą osobą, którą Josta ujrzała na progu swego nowego domu, była Gerlinda. I jak za pierwszem ich spotkaniem, Jostę przeniknął dreszcz złego przeczucia.

Ale Gerlinda uśmiechała się serdecznie i zdaleka już machała do nadjeżdżających dużą wiązanką kwiatów.

Powóz zatrzymał się, hrabia Rainer wyskoczył pierwszy i wysadził żonę, by ją uroczyście wprowadzić do zamku.

Na progu hrabina Gerlinda przywitała młodą parę.

— Jakże się cieszę, jaka jestem szczęśliwa, że nareszcie przyjechaliście do domu. Tak mi tu było smutno w ciągu tych tygodni, — rzekła napozór wzruszona i uścisnęła Jostę, jakby się za nią tęskniła.

Josta zaledwie się mogła zdobyć na kilka przyjaznych słów. Ale hrabia Rainer przywitał Gerlindę gorąco i serdecznie.

Gerlinda z natężeniem obserwowała ich twarze. I nie znalazła w nich tego, czego się najwięcej obawiała. Tego

jasnego, słonecznego odbicia szczęścia, którem zwykle promienieją twarze ludzi naprawdę szczęśliwych.

Gerlinda kroczyła obok młodej pary, jakby jej trudno było się z nimi rozstać i pozostawić ich samych.

Ale młoda pani na Rambergu zareagowała na to dość energicznie.

— Jestem zmęczona, droga Gerlindo i muszę odpocząć. Jesteśmy od wczesnego rana w podróży. Przepraszamy cię chwilowo. Gdy tylko odpocznę i rozejrzę się w mojem nowem państwie, pozwolę sobie odwiedzić cię we wdowim domu. A potem będziesz naszym częstym, zawsze mile widzianym gościem. Dziękuję ci bardzo za przywitanie i dowidzenia narazie!

Mówiąc to, podała jej rękę. A więc hrabinie dano ostatecznie do zrozumienia, że na przyszłość może tu bywać tylko w charakterze gościa.

Hrabia był coprawda zadowolony, że Josta pożegnała teraz Gerlindę, lecz było mu trochę przykro, że zrobiła to tak energicznie.

Zaprowadził żonę do jej pokoju. Pierwsze, co rzuciło się Joście w oczy, to olbrzymia masa czerwonych róż, któremi przepełnione były wszystkie wazony. Oszołomił ją słodki zapach. Odetchnęła głęboko.

— Kto tak pięknie przystroił pokój, Rainerze? — zapytała, patrząc na męża.

— Zrobiono to na moje polecenie. Cieszy cię to, Josto?

Josta zarumieniła się lekko.

— Bardzo! Te róże są takie wspaniałe! Czy hodowane są w Rambergu?

— Tak, pielęgnowane są tu ze specjalną troskliwością. Przecież wiesz, że czerwone róże są symboliczne dla naszego rodu?

— Nie, tego nie wiem. Jakie mają znaczenie? powiedz mi!

— Te właśnie róże są w naszym herbie, a wiesz przecież, co one w nim oznaczają. Od czasu, kiedy przodek nasz otrzymał te róże od księżnej, leżąc na łożu boleści, stały się one dla naszego rodu symbolem szczęścia. I od wtedy są specjalnie hodowane w Rambergu.

Josta pochyliła głowę nad jednym z bukietów. Ach, dlatego Rainer zawsze przysyłał jej czerwone róże i teraz kazał przystroić w nie jej pokój! Ach, coby dała za to, żeby one oznaczały nietylko szczęście, ale i miłość!

Rainer nie wiedział, jakie myśli krążyły po jej głowie. Darował jej czerwone róże, gdyż kochał ją. Ale tego nie mógł jej powiedzieć.

— Gdy się przebierzesz, Josto, każ mię zawołać. Chcę cię oprowadzić po całym domu, — rzekł serdecznie.

Kiedy po godzinie wchodził do niej, zapytał:

— Czy nie jesteś zbyt zmęczona? W takim razie odłożymy na jutro obejrzenie zamku.

Josta śmiejąc się potrząsnęła głową.

— Wcale już nie jestem zmęczona. Nie gniewaj się, że tak odprawiłam Gerlindę, ale pierwsze moje tutaj chwile chciałam spędzić sama z tobą.

Kiedy Rainer prowadził żonę przez jej i jego pokoje i przez pozostałe komnaty i pomieszczenia, Josta stała się wesoła i swobodna. Zachwycona była wspaniałością urządzeń zamkowych.

Po pewnym czasie rzekła, uśmiechając się słodko:

— No, ale na dziś już dosyć, Rainerze; widzisz, samo oglądanie dopiero mnie zmęczyło. Proszę cię, zaprowadź mnie do moich pokojów, bo sama nie trafię.

Hrabia, szczęśliwy, patrzał uśmiechając się na jej rozpromienioną twarzyczkę.

— Więc chodź, moja maleńka Josto. Na dziś masz już doprawdy dosyć wrażeń.

I zaprowadził ją do jej apartamentów.

W parę chwil później siedzieli razem przy posiłku, zajmując miejsca naprzeciwko siebie przy okrągłym stole, obydwoje w doskonałych humorach.

— Jak mi tu dobrze! Jak mi się tu podoba! — rzekła Josta.

A hrabia był szczęśliwy, że jego żona tak była ze wszystkiego zadowolona.

ROZDZIAŁ 26

Następne dni mijały szybko.

Josta odwiedziła już hrabinę w jej domku i Gerlinda pokazała jej wszystkie pokoje, które skromne, lecz bardzo ładne i miłe, podobały się Joście bardzo.

— Przychodź do nas często, Gerlindo, — rzekła Josta. — Będzie nam bardzo miło. Widzę, że ci tu jest smutno samej, a mnie jest przykro, że przeze mnie pozbawiona jesteś tak wspaniałego otoczenia, jakiem jest zamek Ramberski.

— To jest zwykły los królowej, — zażartowała Gerlinda. — Kiedy król umiera, królowa musi opuścić tron. Ale z wdzięcznością przyjmuję twoje łaskawe zaprosiny. Gdy skończą się wasze miodowe miesiące, poproszę też o pozwolenie spożywania wspólnie z wami posiłków. Nie masz pojęcia, jak okropne jest to samotne siedzenie przy stole!

Josta na wzmiankę o miodowych miesiącach zarumieniła się lekko.

— Możesz już teraz jadać z nami, absolutnie nam nie będziesz przeszkadzała, — rzekła szybko.

Gerlinda przychodziła więc o każdej porze dnia, bez uprzedzenia. Przed obiadem, kiedy Rainer był zajęty, rozmawiała z Jostą; po obiedzie przychodziła na herbatę i jadała razem z nimi kolację. Pozostawała jeszcze i po kolacji, i gawędząc z Jostą, chodziła z nią na spacer.

Dla Josty ta ciągła obecność Gerlindy stawała się nieznośna. Prawie, że nie znajdowała spokojnej chwili, którąby mogła spędzić sam na sam z mężem. A przecież tak tego pragnęła!

Zauważyła też, że Rainer czuł się w towarzystwie Gerlindy doskonale. Czasami zadawała sobie samej pytanie, poco właściwie sprowadził ją Rainer do Rambergu. Działo się to wszystko tak stopniowo, że młoda para nawet nie spostrzegała, jak z dnia na dzień stawali się sobie coraz bardziej obcy.

W ich życiu codziennem pozostały teraz tylko niektóre chwile, kiedy mogli być ze sobą sami. Były to godziny wspólnej jazdy konnej. I były to dla Josty najmilsze godziny dnia.

Hrabina Gerlinda nienawidziła tych ich wspólnych wyjazdów. Żałowała teraz mocno, że tak źle jeździła konno. Przytem na koniu wyglądała znacznie gorzej od Josty. Po krótkiej nawet jeździe dostawała silnych wypieków, a jej kunsztownie fryzowane włosy rozpuszczały się i sterczały brzydko wokoło głowy. Zaś Josta wyglądała na powietrzu, wśród ruchu, wprost czarująco.

Josta spostrzegła odrazu, że Gerlinda niechętnie brała udział w konnej jeździe, tem gorliwiej więc sama z niej korzystała.

Dokończenie nastąpi.

EDGAR WALLACE

KAMEA MEDYCEUSZÓW

Powieść kryminalna

STRESZCZENIE.

Samuel Wasser, syn właściciela największego domu towarowego w Littlebourgu, jest w przededniu poślubienia pięknej Oktobry Jones. Oktobra otrzyma wielki posag, jeśli wyjdzie zamąż przed ukończeniem 21 roku. W drodze do domu opiekunów Oktobry spotyka Sam włóczęgę, którego upija i prowadzi go do Oktobry, by żartem pomścić zniewagę, wyrządzoną mu przez Oktobrę. Oktobra bowiem oświadczyła, że poślubiłaby każdego włóczęgę. W domu Oktobry spotyka Sam całą rodzinę, jakoteż kapłana domu. Oktobra na zapytanie Sama oświadcza ponownie, że poślubi włóczęgę i ku zdumieniu zgromadzonych zmusza kapłana do udzielenia jej ślubu z włóczęgą Robinem Leslie. Zanim rodzina i Sam mogli ochłonąć z przerażenia, młoda para ucieka do najbliższego lasu i chroni się w domu pewnego wisielca. Odważniejsi ze służby ścigają Oktobrę po śladach, prowadzących do ich schroniska. Robinowi udaje się jednak wraz z Oktobrą wymknąć się niespostrzeżenie ze schroniska, po drodze znajdują auto, uciekają przed pogonią. Tymczasem zjawia się nagle w domu opiekunów Oktobry Anglik, niejaki Allan Loamer, który jest widocznie zainteresowany losem włóczęgi, a słysząc o wydarzeniu, pędzi również w stronę uciekinierów. W czasie odpoczynku nakłania Robin Oktobrę do powrotu do domu, ale ona chce zostać przy nim.

— No tak, tak, przerwał jej pośpiesznie. Robin był poważnie zakłopotany. „Milczeć!" Słowo to wyszeptał niesłychanie brutalnie — „kobieta nadchodzi". Oktobra poszła za jego przykładem i rozchyliwszy ostrożnie paprocie, patrzyła. Dama była już blisko.

Szła pewnym krokiem, podpierając się hebanową laską, cała w czerni. Z miejsca, gdzie patrzyli, zdawała się ogromna, na ścieżce w pełnem słońcu ręce jej lśniły od klejnotów, tak, że Oktobra musiała je widzieć, choć wpatrzona była głównie w jej twarz. Śmiertelnie blada, z ciemno podkrążonemi oczyma, nos miała wydatny, bardzo duży i wystający. Brylanty lśniły w jej uszach, na palcach jej i na staniku, zdobiły przeguby jej dłoni. Gdy zeszła im z oczu, Oktobra usłyszała westchnienie Robina.

— Królowa Elfryda; widziała ją pani?... To znaczy gniazdo wężów tu...

— Elfryda? Czy to jej imię?

— Nie; Loamer, lady Georgina Loamer; ojcem jej był markiz Dealford. Śmieszny stary djabeł, wiecznie zrujnowany. — Mówił, nie patrząc na nią, gdyż oczy jego nie mogły się oderwać od drzew, poza któremi dama znikła; był żywym posągiem zdumienia.

— Elfryda — stary sport — zawsze na tropie swych hartów — zawsze tam, gdzie mordują. Każde miejsce dobre dla tego celu. — Na Jowisza, Elfryda.

— Pan ją zna? — pytała zdziwiona.

— Tyle, że się jej kłaniam, „dzień dobry, pani", „spodziewam się, że pani się dobrze czuje" i tem podobne rzeczy, nie jesteśmy na stopie bliższych pogadanek. — Jeśli ona jest na fermie, pani nie może tam iść.

— Nie pójdę, bo nie chcę — rzekła spokojnie Oktobra; — idziemy do Prescott; co pan tam będzie robił?

— Nic ważnego.

Patrzył na nią posępnie; czuła, że stała mu się naraz ciężarem.

— W każdym razie ja nie odejdę; — mówiła, wypowiadając głośno swe myśli, raczej niż mówiąc do niego.

— Przypominam sobie teraz niejasno; ten ślub, była to ładna marmelada, pamiętam teraz...

Po chwili zasnął z głową opartą na ręku. Oktobra zrobiła przegląd zapasów. Mieli jeszcze dwa duże suchary, bardzo twarde, paczkę albertów, trzy keksy czekoladowe i kawałek paszteta, starannie owiniętego w papier. Nie umrą z głodu. Przytem obok termosu miał jeszcze Robin płaską flaszkę w kształcie manierki, którą napełnił źródlaną wodą, gdy opuszczali wąwóz. Siedziała cierpliwie z rękami złożonemi na kolanach, mniemając, że teraz na nią przyszła kolej czuwania nad śpiącym. Rozumiała ważność tej misji, patrzyła też uważnie przez paprocie, lecz nie dojrzała nic. Słońce zniżało bieg, miljardy owadów wirowały dokoła drzew, przysłaniając je jakby chmura, słyszała wyraźnie miarowe tap, tap, dzięcioła.

— Która godzina? — spytał.

Nie wiedziała, że się przebudził.

— Około siódmej; czy pan głodny?

Usiadł i przecierał sobie mocno twarz.

— Umieram z głodu — odparł.

Spożyli skromny posiłek, zjadłszy najpierw twarde suchary, resztę zapasów zawinęli starannie, poczem ułożyli dalszy program. Pozostaną tu, dokąd słońce całkiem nie zajdzie, potem pójdą południową stroną rezerwy leśnej. On mniemał, że jest tu w pobliżu kołowa szosa, a także linja kolejowa, wszak słyszeli w ciągu dnia klaskanie z bicza i daleki odgłos dzwonka. Najgorzej będzie z mostami. Tak twierdził. Jeśli napotkają wielką rzekę, będą musieli iść brzegiem, dopóki nie znajdą przewozu. Był on ekspertem w tych rzeczach, dowiedziała się, że uniknął już wielu niebezpieczeństw, omijając mosty. O ile mogła zrozumieć, jutro zrana znaleźć się powinni gdzieś pomiędzy Ogdenburgiem, a miejscowością, którą on zwał Liffy. Ogromnie liczył na to Liffy. Okazało się jednak, że nie jest to imię miejscowości, lecz człowieka, który trudnił się przewoźnictwem.

— Jest Irlandczykiem — rzekł poważnie, — jego brat postrzelił mego wuja nie na śmierć, przykro mi to stwierdzić, lecz nawet ten brak celności strzelca nie zachwiał naszej przyjaźni. Ma jeszcze drugie imię: „Mike".

Wszystko to opowiedział jej, gdy sposobili się do wymarszu.

— Nie! nie zdaje mi się, aby był włóczęgą, przynajmniej nie widziałem go nigdy w tej roli, robi wiele innych rzeczy. — Czy pani gotowa?

Noc nadeszła, a wtedy zwinąwszy w wałek koc zabrany z samochodu i uwiązawszy go sobie na plecach, dał hasło do odejścia. Las był gęstszy niż przypuszczał, między drzewami dostrzegali chwilami cienki sierp księżyca na nowiu; hukanie sowy przestraszyło Oktobrę, która zadrżała mocno.

— Mnie także to wstrząsnęło, — rzekł, chcąc jej dodać otuchy.

Cały czas musieli iść w dół, co mu się nie podobało, nagle pochód ich wstrzymany został wysokiem ogrodzeniem z kolczastego drutu... Tu kończyła się rezerwa i zaczynał las naturalny, bo drut biegł nieregularnie od drzewa do drzewa. Badając grunt, znalazł tykę, dogodną dla swych zamiarów i dźwignął z jej pomocą najniższy pręt kolczastego drutu.

— Niech się pani spłaszczy jak najmocniej i niech pani próbuje się prześliznąć pod drutem, tuż przy ziemi.

Zrobiła to z małem niepowodzeniem, bo jeden z ostrych kolców uczepił się jej płaszcza, który uparła się nieść sama i wydarł zeń wąski strzępek.

— Jeszcze tydzień, a będzie pani wyglądać na skończoną włóczęgę, zauważył Robin, łaty i szmaty, muszę jeszcze upolować dla pani czerwoną laskę.

Jakimś cudem on sam prześlizgnął się bez szkody.

— Uważaj pani na drogę, szosa jest bliżej niż myślałem.

Była istotnie blisko, z mrocznej gąszczy lasu wynurzyli się nagle na bezdrzewną polankę, obok której biegła szosa, jasna w tej chwili od latarni samochodowych. Ktoś mówił podniesionym głosem.

— Drwal powiada, że widział go na rezerwach leśnych pana Murphy; niech się nikt nie rusza, dopóki nie dostaniemy sygnału od ludzi z tamtej strony parku... — Słuchajcie towarzysze. — Ja pierwszy na niego wpadnę; — ja głównie mam z nim porachunki, czy nie tak? Skoro mi się nawinie przed oczy, będzie trupem. Oto wszystko. Nie zapominajcie, że to ja, głównie ja, mam się z nim rozprawić, jeden z nas musi zejść ze świata; on, albo ja.

Tak przemawiał Sam Wasser do aprobujących go słuchaczy. W chwili, gdy mówił, dał się słyszeć huk strzału od strony lasu.

— Bądźcie gotowi chłopcy, a nie zastrzelcie młodej lady.

— Wracać pod drut, ja przejdę pierwszy — szepnął Robin, zanim dosięgła płotu, on był już pod nim, szarpnął ją i przeciągnął gwałtownie, nowy szmat z jej płaszcza został na drutach.

— Pośpiech! oni nie wiedzą o kolczastym płocie...

Lecz tymczasem banda zatrzymała się z innych powodów.

— Wyciągnąć kordon — Ed! ty idź do rowu — pan Elmer, gdzie jest pan Elmer?

— Rów — szepnął Robin, to musi być blisko, gdzie płot przytyka do granic posiadłości.

— Bokiem — wykrzyknął szeptem. Oktobra usłuchała.

Naroże płotu ukazało się, trzeba było raz jeszcze przejść pod drutem. Robin podniósł najniższy drut. Oktobra prześlizgnęła się pod nim, później ona trzymała dla niego z mniej dobrym skutkiem.

— To nic! moja kurtka zdobyła nową dziurę.

Eddy, wysłany do naroża, spełnił widocznie rozkaz bez pośpiechu, gdyż teraz dopiero ukazał się na dalekim horyzoncie.

Robin z Oktobrą skręcili na prawo, ukrywając się we wgłębieniu pod nasypem, idąc gęsiego. W lesie rozległo się parę strzałów, a po nich istna kanonada. Spojrzawszy na niego, widziała, że trzęsie się ze śmiechu.

— Pozabijają się wzajemnie i będzie to moja wina — rzekł proroczo.

Dwa kręgi światła ukazały się przed niemi, kładąc się płasko na drodze, dokąd samochód nie zniknął im z oczu.

— Trzymajmy się lepiej rowu tuż przy krawędzi drogi — rzekł Robin. Potem wyjaśnił jej, że stare słowo dla określenia tego miejsca był „sleng". Cyganie go używali i wędrowni kotlarze, którzy mieli swoje narzecze i tak „sleng" przeszło do słownika. Zaczął jej udzielać mnóstwo informacyj w chwili jak mniemała najmniej stosownej. Korzystając z tego spytała go o zagadkową Elfrydę, lecz tu był mniej wymowny.

— Powiem to pani innym razem. Elfryda jest wspaniała, co za skończona lady.

Wędrowali prawie milę, zanim doszli do jakiejś bocznej drogi; był to prawdopodobnie trakt prywatny, wiodący do zabudowań gospodarskich. Duży pies wypadł na nich z otwartej bramy. Robin gwizdnął, a pies przypadł do niego przyjaźnie i z trudnością dał się przekonać, że powinien wracać do domu.

Uszli zaledwie kilka kroków po bocznej drodze, gdy Oktobra szepnęła:

— Czy nie zdaje się panu, że ktoś idzie za nami...

Odwrócił się.

— Myślę że nie, ale dlaczego?

— Nie wiem, może to nerwy, lecz zdawało mi się.

Zawrócili w tej chwili, a on skinąwszy na nią przykląkł na rogu i wpatrzył się uważnie w drogę, którą przebyli; patrzył kilka minut, zanim powrócił do niej.

— Nie widziałem nikogo, a pani?

Zawahała się.

— Nie, nie jestem pewna, lecz zdaje mi się, że widziałam kogoś stojącego na skraju drogi, może to było złudzenie.

O niecałą milę stąd biegł tor kolejowy, widzieli światła pociągu, które przemknęły za drzewami.

— Tam w rogu będzie przecznica, lecz na nic się nie zda iść ku niej, zaprowadzi nas prawdopodobnie do miejsca, którego chcemy unikać.

Postanowił więc przejść w poprzek trakt i znaleźć dalszą drogę równoległą do gościńca. Ta, którą szli obecnie, nie dochodziła do toru kolejowego, w połowie długości zawracała nagle pod olbrzymią bramą, wspartą na wysokich filarach, prawdopodobnie wjazd do wiejskiej posiadłości, ukrytej za portalem. Gdy przystąpili bliżej, pies zaczął ujadać wściekle, lecz ten był, jak się zdaje, uwiązany na łańcuchu. Gorsze wszakże niebezpieczeństwo groziło im. Oktobra dostrzegła nagle, że cień jej wydłuża się i rośnie na drodze, Robin dojrzał to samo, przyczyną tego był samochód, który skręcił właśnie w tą stronę i którego latarnie rzucały coraz to silniejszy blask wzmagający się z każdą chwi ą. Robin rozpatrzył się błyskawicznie w położeniu, nie było sposobu ukryć się, nie było sposobu przejść obok motoru niedostrzeżenie. Automobiliści stwierdziliby natychmiast ich tożsamość. Dostrzegł na szczęście ciężką mosiężną obrączkę, zwisającą na drzwiach, uchwycił ją, pokręcił, klamka ustąpiła, brama rozwarła się szeroko. Oktobra nie czekając wezwania, pośpieszyła za nim, nauczyła się już orjentować szybko i znalazła się za bramą równocześnie z nim. Zamknął bramę zpowrotem. Samochód był tak blisko, że światła jego przenikały przez szczeliny poza ogrodzenie, musieli czołgać się na rękach i kolanach, by się dokładniej ukryć. Samochód stanął przed bramą, ktoś szedł ku niej, by ją rozewrzeć, usłyszeli od strony niewidzialnego domu głos męski.

— Czy to ty Dick?

— Tak, przykro mi, że się opóźniłem Bill; słyszałeś strzały?

Człowiek był przy bramie, słychać było skrzyp jego obuwia na żwirze alei.

— Strzały? A no tak; słyszałem coś. Co się właściwie stało?

— A to ten przeklęty opryszek, co zabił dziewczynę z Littlebourga. Widziano go w lasach Murphego. Murphy zapalił się jak do polowania we wrześniu i urządził formalną obławę. Niektórzy z jego ludzi poszli na ochotnika i zaczęli strzelać ze swych pukawek; całe szczęście, że nikogo nie zabili, co jest doprawdy dziwne. Przepraszam cię, żem się spóźnił... — Głos ucichł, widocznie człowiek odszedł do auta. Zaczęły się różne zgrzyty, automobil zawracał ciężko i wjeżdżał w bramę, którą ktoś za nim zatrzasnął.

— Zostaw to Dick, przyślę Hawkinsa.

Krótki szczęk stali i znowu słowa.

— Radzę ci zaryglować bramę, bo ten ptaszek krąży gdzieś w pobliżu. Wczoraj ukradł samochód, który zresztą znaleziono później przy kamieniołomie. Jest on czemś gorszem, niż zwykły włóczęga.

— Wezmę tylko walizę.

— Zostaw! przyślę po nią.

Odgłos dwóch par nóg na żwirze, a potem cisza, gdy wstąpili na trawę gazonu.

— Wyjdź pani stąd jak najszybciej — szeptał Robin. (Nigdy jeszcze nie widziała go tak strwożonym). — Pójdziesz ku torowi kolejowemu i tam czekaj na mnie.

Oktobra usłuchała; próbowała przecisnąć się pod kolczastym płotem, co przyszło jej tym razem niesłychanie trudno, z powodu mrocznej ciemności, jaka zapadła po zgaszeniu świateł samochodu. Nie mogła teraz znaleźć dobroczynnej szczeliny, którą wprzód sobie upatrzyli. Podniosła cicho klamkę i wyszła na drogę, tu zatrzymała się niepewna. Robin prawdopodobnie zechce ukraść samochód, jak zeszłej nocy, a tylko rygle w bramie stały na przeszkodzie. Benzyna również była zamknięta, lecz tą trudność mógłby przełamać. Miała jednak iść ku torowi kolejowemu, skręciła więc na prawo; lecz uszedłszy kilka kroków, dostrzegła, że dom jest na lewo, znaczyło to, że wróciła na drogę, którą przed chwilą przyszli.

Zatrzymała się niepewna, widziała znów pociąg biegnący za drzewami. Może należy biec, lecz cóż to? Dwaj ludzie stali po obu stronach drogi, nieruchomi jak słupy, ale przecie ludzie. Serce zabiło w niej w śmiertelnej trwodze, należało ostrzec Robina, że ich śledzono. Wyszła na środek gościńca, wówczas obaj równocześnie zaszli jej drogę.

— Pani daruje...

Poznała głos Rudego, odróżniłaby go wśród tysiąca.

VIII.

— Dobry wieczór — rzekła Oktobra i chciała przejść mimo, lecz uchwycił ją mocno za rękę, którą cisnął aż do bólu.

— Daleko pani idzie?

— Nie, niedaleko, do tego domu, proszę mnie puścić, albo zawołam mego brata.

— Nie wiedzieliśmy, że ma brata, nieprawdaż Lenny? Mówiono, że jest sierotą. Hej! gdzież jest ten twój przyjaciel włóczęga.

— Nie wiem, czego chcecie odemnie — mówiła bardzo głośno, aby Robin mógł ją słyszeć. Lecz naraz zdjęła ją paniczna trwoga; jeśli usłyszy i nadejdzie... Ci dwaj dybią przecie na niego... ten mały z nożem.

— Czego się boisz — nic ci się nie stanie, czy nie tak, Lenny?

Odwoływał się stale do swego kolegi, lecz Lenny z reguły nic nie odpowiadał. Rudy przeszedł przed nią, nie puszczając jej ręki i pochylił się do ucha towarzysza, któremu coś szepnął.

— U-hu! — mruknął Lenny. — A no tak.

— Pani powróci do wujaszka, panienko! — rzekł Rudy. — Wiemy obaj, że nie jesteśmy godni być kawalerami pani, po tym małżonku z opuchłą gębą, z którym pani latała po gościńcu, ale radzę po dobroci, żeby się pani nas lepiej trzymała; czy nie tak Lenny?

Ona jednak wyczuła wybornie, że Rudy miotany jest niepokojem, jak człowiek, który spodziewa się ataku, lecz nie wie z której strony to nadejdzie. Dostrzegła rewolwer w jego ręku, a raczej wyczuła go, bo było bardzo ciemno; sierp księżyca zasunął się za chmury i tylko parę gwiazd migotało.

— Chodź pani! — Trzymał ją mocno, lecz ociągał się. Lenny nie protestował, mimo, że nie zawrócili z drogi. Gwiazdy odbijały się niewyraźnie w błyszczącej stali noża, który trzymał między dużym a wskazującym palcem.

— Ładny spacer po ślubie, co? jak przystało na miodowy miesiąc. Co! nieprawda może? — mówił Rudy.

— Czego się tak boicie? — spytała i wleczecie jak raki; jeśli on was zastrzeli, gotowiście upaść na mnie.

Usłyszała przśypieszony oddech Rudego, chociaż zaśmiał się nieszczerze.

— To sobie dobre, słyszysz Lenny. Miarkuję, że mąż pani jest tu gdzieś blisko, a sporo ludzi czeka tylko, by się z nim spotkać; nieprawdaż Lenny?

— A no tak — mruknął Lenny.

— A powiedzcie, czy ma jucha rewolwer? — założyłbym się, że ma.

— Uważajcie już!

Za cenę życia nie mogła się wyrzec chętki wypłatania im figla. Rudy uskoczył w bok, klnąc straszliwie, przez chwilę była wolną, lecz wnet opamiętał się i znów chwycił jej rękę.

— A to co? kpiny jakieś! proszę! Uważasz Lenny. Taka pani z gościńca... Czekaj no!

Krzyczał i starał się być groźny; poszli teraz trochę szybciej, lecz obaj, Lenny i Rudy oglądali się za siebie co kilka kroków.

— Będziemy go mieć. Nie bój się pani. Jest tu blisko, tego nam właśnie trzeba. I tak na każdym zakręcie czeka na niego po dwóch ludzi uzbrojonych. Nim świt nadejdzie, zaprowadzimy panią do trupiarni, żebyś rozpoznała swego gagatka. Nieprawdaż Lenny?

— A no tak — rzekł Lenny.

— Czem jesteście w życiu codziennem — pytała Oktobra. — Zwykli złodzieje, czy nożowcy do najęcia.

— Co ona mówi?

— Nożowcy. Słyszałam, że w Chicago można ich mieć tanio, za pół ceny.

Rudy miał pewnego rodzaju dumę i patrjotyzm lokalny. Chicago było jego rodzinnem miastem, wygłosił więc pewnego rodzaju przemowę w stylu zawiłym.

— Widzisz ją... Co dobre dla mnie, dobre i dla... takich... Cóż tam znowu? Tanie! proszę... Słyszałeś Lenny? A cóż jest tańszego, jak taka z gościńca od włóczęgi... ho, ho!

Doszli teraz do szosy, gdzie ujrzeli przejmujący widok. Tuż przed nimi, sznur automobilów jeden za drugim. Z jednej strony drogi grunt podnosił się i tworzył następnie rodzaj polanki, nie będącej widocznie prywatną własnością, bo nie było tu płotu, ani żadnego ogrodzenia. W tem miejscu rozpalono ogień, duży ogień obozowy, który oświecał malowniczo drogę i drzewa. Noc była ciepła i w zasadzie ogień był zbyteczny, lecz niewątpliwie wyglądał malowniczo i rzucał dziwne błyski na marsowe postacie, uzbrojone w strzelby i rewolwery, prześlizgiwał się złowrogo po dużej tarczy wielkiego zegarka pana Elmera.

— Kwadrans po jedenastej; — mówił ten gentleman, czy nie lepiej będzie, jeśli powrócimy do Littlebourga Samie. Oktobra prawdopodobnie już nie żyje i nie mogła nic lepszego zrobić; dla wszystkich. Spojrzał w bok na jedną w tem gronie kobietę.

Pani Elmer rozmiłowana była w pewnego rodzaju smażonych owocach, któremi miała usta wypchane; jej wąskie szczęki żuły monotonnie.

— Drwal mówił, że widział ją w lesie, — rzekł ponuro Sam.

Siedział na skrzyżowanych nogach, z łokciami wspartemi o kolana i krótką brodą, opartą na dłoni.

— Powinienem był zabić go, — mówił głucho, miałem przeczucie od pierwszego razu, gdym go spotkał. Takie podświadome przeczucie — poprostu los — fatum.

Ktoś spytał, jak długo jeszcze palić się będzie ten przeklęty ogień i czy nie zgaśnie sam. — Ktoś inny twierdził, że nie można go tak zostawić. Niektórzy z uczestników znudzeni pościgiem, powracali już do swoich samochodów.

Pan Elmer spojrzał raz jeszcze na zegarek.

— Nikt tu nikogo nie może winić — rzekł sentencjonalnie. — Oktobra to jest taka dziewczyna. Raz pamiętam, chciałem ją za coś skarcić, a ona skoczyła na studnię i wrzeszczy: „Jeśli mnie tkniesz, skoczę w wodę“, taka była Oktobra.

Sam pociągnął nosem i mruknął niechętnie. Był on za zgodą powszechną, najwybitniejszym członkiem wyprawy i uznanym jej przywódcą, między nogami miał strzelbę. Pan Elmer dwa razy już zwrócił uwagę ogółu w inną stronę, podczas gdy on tu był główną osobą i główną ofiarą. Nie mógł też pozwolić, aby ktoś inny podkreślał swój autorytet, wydając sąd o ekscentryczności Oktobry.

— Skoczyła też tym razem — rzekł gorzko. Rzecz jest w tem, czy było to zgóry ułożone. Dziwne to jest, że tego samego dnia zrana rzekła do mnie, że jeden mężczyzna wart drugiego i że tak samo poszłaby za włóczęgę.

Stary Elmer uderzony został nowością tej hipotezy, szczęki pani Elmer przestały żuć słodycze.

— Tak, w tem jest rzecz, powtórzył Sam, zwracając się do nowych słuchaczy. — On uważam siedział przy drodze, tak prawie, jak ja teraz. Ona go musiała widzieć, on ją także. Przypominam sobie teraz, że powiedział mi to, gdy go spytałem.

W tej chwili podniósł oczy w stronę oświeconego pożogą lasu, i zobaczył... Nie znał rudego człowieka, który stał przy drodze, ale dziewczynę w poszarpanym płaszczu znał wybornie. Podniósł się i porwał za strzelbę. Pan Elmer powstał również.

— Oktobra! — zawołał, lecz nie wiedział, co ma począć dalej, bo już pierwsze pobieżne spojrzenie oświeciło go, że niema w niej i cienia skruchy marnotrawnego syna, ani też nic z owieczki, powracającej do stada. Stwierdził natomiast w duchu, że pozostała tem, czem była zawsze, dzikim kociakiem, który nie będzie mruczeć.

Mister Sam Wasser dał sobie czas do namysłu. Z podniesioną strzelbą postąpił trzy kroki na spotkanie dziewczyny.

— I cóż powróciłaś, Oktobro? — Wyrzekł te słowa z rozmyślną oschłością.

— „Pani Beausere“ — rzekła lodowato, — jestem zamężna.

Ciąg dalszy nastąpi.

Prawdziwe opowiadania z życia*)

(Od naszych czytelników)

MAREK ROMAŃSKI

Nieznany kochanek.

Janusz Wirski był skromnym urzędnikiem miejskiej kasy oszczędności, człowiekiem cichym i małych wymagań, który życie swe dzielił pomiędzy biuro a dom. Nie można było powiedzieć o nim, że był człowiekiem wielkich ambicyj życiowych.

Był poprostu szarym człowiekiem z tłumu, którzy nigdy się niczem nie odznaczają i którzy przechodzą przez życie, jakby niedostrzeżeni.

A jednak temu właśnie Januszowi Wirskiemu przypadła w udziale rola bohatera tragicznej historji, której właściwie nie był winien nikt, była to bowiem historja strasznej, niezwykłej omyłki.

Janusz Wirski ożenił się przed kilku laty, a było to takie małżeństwo, jakie bywa najczęściej wśród ludzi tego typu. Było to małżeństwo z miłości. Był czas, kiedy Janusz nie widział świata poza swą żoną, która również darzyła go szczerem uczuciem.

Jak to jednak często bywa w małżeństwach, po pewnym czasie stosunek tych dwojga począł się psuć, a na czystem niebie poczęły się pojawiać chmurki.

Stara to jak świat historja, że proza życia i szara codzienność zabijają miłość. Tak było właśnie i tym razem.

Było to właściwie również nieporozumienie, bowiem Janusz zarzucał często żonie, że go już nie kocha tak, jak dawniej, i ona zarzucała mu to samo, chociaż w głębi duszy kochali się jak dawniej i być może nie umieli tylko wyrazić tego w sposób tak właściwy i trafny, jak to czynili dawniej.

W rezultacie Janusz począł szukać przyjemności poza domem i coraz częstsze chwile spędzał w towarzystwie kolegów biurowych, przy kufelku ulubionego piwa.

Pewnego dnia, gdy przyszedł do domu, zastał w wazonie na stole pęk pięknych kwiatów.

To był nadprogramowy wydatek, a każdy wydatek nadprogramowy rujnował skromny domowy budżet. Kwiaty były bardzo piękne, i owszem, jednakże musiały mieć swoją cenę.

Wirski zapytał żonę, strofując ją, że wydaje pieniądze na rzeczy niepotrzebne.

— Te kwiaty nie kosztowały mnie ani grosza, — odpowiedziała Hanka Wirska, ruszając ramionami.

— Nie chcesz chyba powiedzieć, że je dostałaś? — ozwał się znowu zdziwiony mąż. — O ile sobie przypominam, nie są dziś twoje imieniny.

— Kwiaty nie tylko daje się w dniu imienin.

Wirska miała na ustach tajemniczy uśmiech.

— Może mi to zechcesz wytłumaczyć, — rzekł zdenerwowany urzędnik.

— Nie wiele mogę ci o tem powiedzieć. Przed tygodniem, gdy szłam ulicą, przyplątał się do mnie jakiś „typ". Szedł za mną krok w krok. Od tego czasu widziałam go kilkakrotnie. Widocznie stwierdził mój adres. Gdy dziś wróciłam z miasta, służąca powiedziała, że przyniesiono mi te kwiaty. Nie było przy nich żadnego biletu ani listu. Przyznasz jednak, że są ładne.

Janusz spochmurniał.

— Zapowiedz służącej, żeby na przyszłość odsyłała kwiaty zpowrotem.

Hanka Wirska nic na to nie odpowiedziała, tylko raz jeszcze ruszyła ramionami.

Kwiaty stały na stole i zdenerwowały Janusza. Przez kilka dni nie mówili o tem zupełnie.

Po kilku dniach Wirska wróciła do tego tematu.

— Wyobraź sobie — rzekła do męża — że ten „typ", o którym ci mówiłam, — zresztą bardzo przystojny mężczyzna — stwierdził, jaki mamy numer telefonu. Dzwonił dziś do mnie. Jaki bezczelny...

— Przypuszczam, że potraktowałaś go odpowiednio.

— Naturalnie. Położyłam słuchawkę. On miał jednak bardzo miły głos.

Na to ostatnie twierdzenie nie otrzymała już odpowiedzi.

Po kilku dniach kwiaty powtórzyły się znowu. Były również przysłane bezimiennie.

Nie sposób było ich odesłać, ponieważ w mieszkaniu w tem czasie nie było nikogo i posłaniec zostawił kwiaty u dozorcy.

Janusz zarzucił żonę znowu gradem zapytań i wymówek.

Nie czekał długo, aż znalazł na biureczku żony zanotowany numer telefonu.

Domyślił się bardzo szybko, czyj to był telefon. Więc sprawy zaszły aż tak daleko!

— Widziałam się z nim. Cóż w tem strasznego? Trzeba przecież znać ludzi, a ja nie mam do kogo ust otworzyć. To bardzo miły człowiek i bardzo grzeczny. Nie widzę w tem nic złego.

Wirski uważał jednak, że nie jest to w porządku. Stwierdził przez biuro numerów do kogo należał telefon i wiedział już nazwisko owego młodego człowieka, którego żona nazywała „sympatycznym typem".

W kilka dni potem przyniesiono znowu kwiaty. Tym razem z biletem wizytowym. Na bilecie wizytowym było to samo właśnie nazwisko, które podała mu telefonistka z biura numerów.

Urzędnik nie mówił już nic, tylko wieczorem, kładąc się spać, wyjął stary rewolwer po ojcu, ukryty w jakimś zakamarku biurka, wyszukał naboje, nabił broń, mimo, że nie umiał się z nią dobrze obchodzić, poczem, jakby uspokojony tą czynnością, położył się spać.

Nazajutrz rano, po raz pierwszy od wielu lat, Janusz Wirski o zwykłej porze nie poszedł do biura.

Ukrył rewolwer w kieszeni ubrania, siadł do taksówki i podał adres człowieka, którego numer telefonu znalazł u żony, adres człowieka, który przesyłał jej kwiaty, która się z nim widywała i który był jej kochankiem.

Zapukał do drzwi mieszkania, na których znalazł tabliczkę z nazwiskiem identycznem z wydrukowanem na bilecie wizytowym.

Przekręcono klucz w zamku i odezwał się głos, zapraszający do wejścia.

Janusz Wirski był śmiertelnie blady.

Za chwilę miał stanąć oko w oko z tym, kto odebrał mu szczęście i spokój.

Otworzył drzwi i wszedł do pięknie umeblowanego kawalerskiego pokoju.

Ujrzał przed sobą młodego, przystojnego człowieka o wesołych, śmiejących się oczach.

Ubrany w ranną pyjamę golił się właśnie i miał namydloną połowę twarzy.

Z pewnem zdziwieniem spojrzał na Wirskiego.

— Czem mogę panu służyć?

— Prędzej czy później spodziewał się pan chyba mojej wizyty.

Na twarzy młodego człowieka odbiło się jeszcze większe zdziwienie.

— Proszę mi wybaczyć, ale doprawdy nie przypominam pana sobie.

— Jestem Wirski. Janusz Wirski.

— Proszę, niech pan siada. Przepraszam, że przyjmuję pana w ten sposób, ale golę się właśnie. Czem mogę panu służyć?

— Przyszedłem w sprawie mojej żony — rozdrażnionym głosem odezwał się urzędnik, nie zajmując wskazanego mu miejsca.

Pan w pyjamie odłożył brzytwę i ruszył ramionami.

— Nie rozumiem niczego. W sprawie pana żony?

Wirski nie mógł już wytrzymać.

— Niech pan nie próbuje udawać głupiego! — wybuchnął. — Ja wiem, że to bardzo przyjemnie, uwodzić cudze żony, znacznie przyjemniej, niż przyjmować za to odpowiedzialność.

Tamten coraz mniej z tego wszystkiego rozumiał. Zaczął przypuszczać, że ma przed sobą człowieka nienormalnego. Błędne oczy i bladość Wirskiego utwierdzały go w tem mniemaniu.

— Ja zupełnie nie znam pańskiej żony.

---

*) Prosimy naszych czytelników o „prawdziwe zdarzenia z życia", które umieszczać będziemy w tym dziale, celem nawiązania korespondencji z naszymi przyjaciółmi i tychże między sobą. Redakcja.

— Podły tchórzu, nie ma pan nawet odwagi, by przyznać się do tego! Umie pan posyłać jej kwiaty, nagabywać ją, wyznaczać randki i nie ma pan odwagi przyznać się. Podły nikczemny tchórzu...

— Pan jest szalony!

Młody człowiek energicznym ruchem starł pianę z twarzy i sięgnął ręką po słuchawkę telefoniczną.

Był zupełnie przekonany, że ma do czynienia z warjatem.

— Niech pan się uspokoi i niech pan wyjdzie. Cóż to za najście bezczelne. Nie wiem doprawdy, czy jest pan obłąkanym, czy też to szantaż bezczelny.

— Żądam wytłumaczenia się. Wyjdę stąd wtedy, gdy zechcę.

— Wtedy, gdy ja zechcę. Proszę natychmiast wyjść, bo zaalarmuję komisarjat.

— Ty łotrze!

Młody człowiek podniósł słuchawkę telefoniczną, lecz był to już ostatni ruch, jaki wykonał.

Nieprzytomny z wściekłości Wirski dobył rewolweru i trzema strzałami położył go trupem na miejscu.

Przez chwilę stał jakby osłupiały.

Rewolwer wysunął mu się z ręki i upadł na ziemię, właśnie w chwili, gdy w drzwiach ukazały się osoby, zaalarmowane hukiem strzałów.

Wirski nie próbował uciekać. Nie stawiał zupełnie oporu.

— Zniszczył moje szczęście. Uwiódł mi żonę. Ukarałem łotra, który zabił moje szczęście, i nic więcej.

Mylił się jednak, i nim minęło kilka godzin, stwierdzono straszną omyłkę.

Hanka Wirska nie znała wcale człowieka, którego jej mąż zabił. Znała tylko jego nazwisko.

Długo myślała nad sposobami, któreby przywróciły jej dawną miłość męża, aż wreszcie wpadła na myśl, że najlepsze będzie obudzenie w nim uczucia zazdrości.

Wyszukała w książce telefonicznej pierwsze lepsze nazwisko, które się jej podobało, wynotowała numer telefonu, kazała wydrukować bilety z tem nazwiskiem. Sama przesyłała sobie kwiaty, sądząc, że obudzi w ten sposób zazdrość męża i że wrócą dawne szczęśliwe dni.

Jednego tylko nie obliczyła, jednego tylko nie podejrzewała, iż grę swą zaprowadzi zbyt daleko i że skutki tego manewru będą tak tragiczne.

Janusz Wirski zabił człowieka, który nigdy na oczy nie widział jego żony i która go również nigdy na oczy nie widziała. Zabił jej nieznanego kochanka — którego nazwisko wybrała z książki telefonicznej.

Zabił niepotrzebnie...

Pielęgnacja i higjena skóry ciała

podał Dr. Mondschein.

Chciałbym najpierw w szeregu artykułów omówić pielęgnację i higjenę skóry ciała i cery twarzy, bo — sądzę — jest to temat, który każdego a zwłaszcza panie żywo interesować powinien. W tym nader skomplikowanym mechanizmie, jakiem jest ciało człowieka, odgrywa skóra doniosłą rolę. Przeróżne choroby tak zakaźne — jak odra, szkarlatyna, dur plamisty i t. d. — jak i niezakaźne, ale pochodzenia wewnętrznego (pokrzywka), odbijają się w postaci zwykle bardzo charakterystycznych wysypek na skórze, tak też naodwrót zaniedbanie stałej pielęgnacji skóry czy choroby tejże (oparzenie, zapalenie rozległe skóry, pęcherzyca i t. d.) odbijają się bardzo ujemnie na reszcie ciała, powodując w mniejszym lub większym stopniu naruszenie zdrowia ustroju, ba, nawet śmierć.

Zanim przystąpię do właściwego tematu tj. pielęgnacji skóry i cery twarzy, chcę po krótce przejść poszczególne punkty zadania skóry w skomplikowanym mechanizmie życia organizmu. Otóż skóra powleka całe ciało, raz w grubszej warstwie (brzuch) to znów w cieńszej (powieka) i ma bardzo ważne zadanie:

1. Jako organ ochronny przeciw insultom mechanicznym. Insult taki trafia tu na warstwę powierzchowną (rogową) przyskórka, który w wielkim stopniu stawia opór. Warstwa ta rogowa przyskórka jest u niektórych zwierząt — słoń, nosorożec, krokodyl a głównie u tego ostatniego tak gruba i twarda, że żadne narzędzie ostre nie przejdzie, a nawet kula karabinowa natrafia na ogromny opór.

2. Jako organ ochronny przeciw wpływaniu zimna i gorąca. Wejdzie człowiek do ciepłego czy gorącego środowiska, — parnia, odlewnia metali — wtedy skóra czerwienieje; to naczynia krwionośne skóry rozszerzają się i przezto ciało wydaje z siebie dużo ciepła, przytem równocześnie przez większy dopływ krwi do gruczołów potowych skóry, ciało się poci i też oziębia. Temperatura ciała z powodu powyższych urządzeń nie podnosi się ani o jeden stopień.

3. Skóra jest też zaporą przeciw wtargnięciu szkodliwych promieni światła. Wystawiona na działanie promieni słonecznych, skóra ciemnieje, bronzowieje. Co to znaczy? Oto w komórkach skóry nagromadzają się z powodu światła kryształki ciemnego barwika, które wchłaniają (absorbują) promienie światła. I dlatego też albinosi więc ludzie o jasno blond włosach i jasno niebieskich oczach tak łatwo ulegają szkodliwemu wpływowi promieni światła.

4. Skóra jest zmysłem dotyku, czucia, bólu i temperatury. Czucie dotyku najbardziej rozwinięte na opuszkach palców u ślepców i to do tego stopnia, że wyróżniają najmniejsze nierówności — czytanie pisma ślepców — a nawet przenosi się przez laskę na przedmiot nią dotknięty.

5. Jako organ wydzielniczy — a to przez zawartość gruczołów potowych i łojowych — odgrywa skóra doniosłą rolę. Tędy wydzielają się rozmaite substancje trujące, wytworzone w ustroju przy przemianie materji, przyjmuje skóra zastępczo rolę nerek przy ich schorzeniu, przy różnych chorobach infekcyjnych, a zwłaszcza przy zapaleniu płuc występuje tu w dniu krytycznym kroplisty, obfity pot na całem ciele, zawierający substancje trujące, wydzielane przez drobno-ustroje.

6. Przez skórę odbywa się część przemiany gazów — podobnie jak w płucach, — ona więc wchłania tlen a wydziela bezwodnik węglowy. To oddechanie skóry gra u zwierząt znacznie większą rolę niż u ludzi.

7. Skóra ma też ważne zadanie jako czynnik upiększający ciało i twarz. Tak kolor skóry, jak nagromadzenie się podściółki tłuszczowej, wypełniającej nierówności wystających kości, połysk skóry stanowią w piękności danej twarzy.

Następny raz pomówimy o najczęstszych chorobach skóry i ich leczeniu.

Magazyn powieściowy ukazuje się co 2 tygodnie. Do nabycia we wszystkich księgarniach kolejowych „Ruchu", kioskach, sklepach tytoniowych, oraz we wszystkich księgarniach. Cena pojedyńczego numeru 50 groszy — w prenumeracie: kwartalnie zł 2.50, półrocznie zł 5.—, rocznie zł 10.—. Abonenci cało- i półroczni korzystają z bezpłatnej premji 2 wzgl. 1 książki. Prenumeraty przyjmują wszystkie miejsca sprzedaży jakoteż administracja. Czytelnicy, którzy zgłoszą pisemnie swe zamówienie do administracji Warszawa, Ogrodowa 26, otrzymać mogą numer pierwszy jako okazowy za 35 groszy. Cena ogłoszeń: cała strona 100 zł, 1/2 str. 55 zł, 1/4 str. 28 zł, 1/8 str. 15 zł, drobne ogłoszenia za wiersz petitem 20 groszy.

Sprzedaż dla Francji: Hachette, Messageries des Journaux, Paris 2e.
„ „ Č. S. R.: Orbis Praha, XII, Fochova trida 62.
„ „ U. S. A.: Polish Book Importing Co. Union Square New-York.
„ „ Austrji: Wien IX, Schulzstrassnitzkygasse 13.

Redakcja: L. F. Erdtracht i Marek Romański, Warszawa, Ogrodowa 26 - Redaktor odpowiedzialny: Roman Dąbrowski, Warszawa, Koszykowa 47
Nakładem Polskiego Towarzystwa Przyjaciół Książki, Stanisławów - Drukarnia A. Dittmann T. z o. p., Bydgoszcz - 38995